

PATSY BROOKS

ZA JAKIE GRZECHY?

Tytuł oryginału MASQUERADE

ROZDZIAŁ 1

- Popatrz, spadł śnieg! - zawołała Mandy, wychodząc po ostatniej lekcji ze szkolnego budynku. Do Bożego Narodzenia zostały zaledwie cztery dni i nikt już nie wierzył, że prawdziwa zima zawita wreszcie do Nowego Jorku. - Nie cieszysz się? - zwróciła się do przyjaciółki, na twarzy której nie dostrzegła żadnych oznak radości.

- A niby z czego?

- No jak to z czego? Z tego, że będziemy mieli białe święta. - Mandy zorientowała się, że popełniła gafę, zanim wypowiedziała te słowa.

- Niektórzy będą mieli białe święta, a niektórzy nie będą ich mieć w ogóle - wycodziła przez zęby Sara. - Albo tak jakby ich nie mieli.

- Nie przesadzaj - rzuciła Mandy, zerkając na nią ze złością. Szczerze mówiąc, miała już trochę dość jej narzekań, zwłaszcza że, według niej, Sara naprawdę nie miała powodów, żeby się uskarżać. - Oczywiście, że będziesz miała święta, i to takie, o jakich większość ludzi może tylko pomarzyć. Mogę się założyć - ciągnęła, ignorując skwaszoną minę przyjaciółki - że prawie wszystkie dziewczyny z naszej klasy zamieniłyby się z tobą bez wahania.

Ona w każdym razie zawsze marzyła o tym, żeby spędzić zimowe ferie gdzieś w tropikach, i zupełnie nie przeszkadzałoby jej to, że spędza je w towarzystwie rodziców, ich znajomych oraz syna tych znajomych. Nawet jeśli ten syn był rzeczywiście tak koszmarny, jak jawił się w opowieściach Sary.

Mandy spojrzała na nią i zirytowała się jeszcze bardziej, Sara patrzyła bowiem rozmarzonym wzrokiem za chłopakiem swoich marzeń, który właśnie wyszedł ze szkoły, otoczony wianuszkami wielbicielek. Nie było w tym nic dziwnego, bo gdziekolwiek Ross Goodwin się pojawiał, zawsze natychmiast wyrastało przy nim kilka zapatrzonych w niego dziewcząt. Nagle przyszło jej do głowy, że Sarze może nie tyle chodzi o to, że wyjeżdża na ferie na Karaiby, ile o to, że nie będzie na sylwestrowej imprezie organizowanej przez przyjaciela Rossa, Nicka, na którą została zaproszona.

Schyliła się, podniosła z chodnika garść sypkiego śniegu, który natychmiast topił się w dłoni, po czym uważnie przyjrzała się przyjaciółce.

- Powiedz szczerze, Saro, czy gdyby Nick nie zaprosił cię na sylwestra, też byłabyś taka nieszczęśliwa z powodu wyjazdu na Martynikę?

Wydawało się, że Sara, która wciąż śledziła wzrokiem Rossa, nie słyszy jej pytania, ale po chwili rzuciła oburzoną głosem:

- Nie opowiadaj głupot! Mówiłam ci przecież, że nie uśmiecha mi się spędzanie ferii z rozpieszczonym synalkiem przyjaciół rodziców.

- Wiem, wiem, z grubym i wrednym Bobem.

- Właśnie - powiedziała Sara i jej spojrzenie znów uciekło w kierunku Rossa i grona jego wielbicielek.

Czy te idiotki nie widzą, że to zapatrzone w siebie palant? - pomyślała Mandy, ale natychmiast uzmysłowiła sobie, że również jej najlepsza przyjaciółka, której bynajmniej za idiotkę nie uważała, także tego nie widzi. Nie miała jednak okazji, żeby dłużej zastanowić się nad inteligencją Sary, bo nagle poczuła na karku przeraźliwe zimno.

- Hej! - zawołała i odwróciła się na pięcie. Przed nią stał uśmiechnięty Nick Carter. Zanim zdążyła sięgnąć za kołnierz kurtki, śnieg roztopił się i spłynął jej po plecach. - Kretyn! Kompletny kretyn! - rzuciła ze złością.

Nick jeszcze bardziej wyszczerzył zęby w głupawym uśmiechu.

- Przyjdziecie na sylwestra? - zapytał.

- Mówiłam ci, że Sara wyjeżdża.

- A ty?

- A ja? - Mandy nie miała na razie innego pomysłu na przywitanie nowego roku, mimo to powiedziała: - Ja to się chyba jeszcze zastanowię. Jeśli wszyscy twoi koledzy są równie dowcipni jak ty - na plecach czuła wciąż nieprzyjemną chłodną wilgoć - to chyba mogę sobie darować tę szampańską zabawę.

- Coś ty! Będzie pełna jazda, mówię ci, czadowo.

- Dobra, zobaczą, może przyjdę - rzuciła Nickowi na odczepnego, a kiedy się oddalił, zwróciła się do przyjaciółki: - Mowy nie ma, nawet gdybym miała spędzić sylwestra z babcią przed telewizorem.

- Żartujesz? - Sara wpatrywała się w nią błagalnym wzrokiem. - Nie zrobisz mi tego.

- Czego?

- Nie możesz mi tego zrobić. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Jeśli ty nie pójdziesz na imprezę do Nicka, to kto mi potem opowie, co się tam działo?

- Właściwie to nie muszę czekać do nowego roku, żeby wiedzieć, co się tam będzie działo - odparła Mandy. - Będzie czadowo - dodała, krzywiąc się z niesmakiem.

- Przestań! Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Jeśli o to, że chcesz wiedzieć, co na imprezie będzie robił Ross, to również o tym mogę ci powiedzieć już dzisiaj. Będzie - zerknęła w stronę chłopaka, który właśnie zniknął za rogiem, w towarzystwie dwóch najbardziej wytrwałych wielbicielek - dokładnie tak jak w tej

chwili - pławił się w swoim powodzeniu u dziewcząt. - Mandy spojrzała z politowaniem na przyjaciółkę. - Mogę się domyślać, co one w nim widzą, ale ty?

Sara nie odpowiedziała na jej zaczepkę i w milczeniu ruszyły w kierunku przystanku. Kiedy zobaczyły zatrzymujący się autobus, zaczęły biec, ale były na tyle daleko, że kierowca, mimo że musiał je widzieć, odjechał.

- Świnia - rzuciła Mandy. - Czekamy na następny czy idziemy pieszo?

- Możemy się przejść.

Od trzech lat, to znaczy od chwili, kiedy zaczęły razem chodzić do liceum, widywały się niemal codziennie - w ciągu tygodnia w szkole, w weekendy odwiedzały się nawzajem pod byle pretekstem, a jeśli nie potrafiły go znaleźć, wpadały do siebie po prostu ot tak. Nic więc dziwnego, że Sara, która miała nazajutrz wyjechać na dwa tygodnie, chciała odwlec moment rozstania z przyjaciółką, zwłaszcza że wciąż nie wiedziała, czy Mandy spełni jej prośbę.

- To jak, pójdziesz na tę imprezę u Nicka? - odezwała się, kiedy przystanek autobusowy był już kilkadziesiąt metrów za nimi.

Spojrzała na przyjaciółkę tak błagalnie, że ta, choć wiedziała, że to wszystko nie ma sensu, nie była w stanie odmówić. Trudno, babcia będzie musiała sama posiedzieć przed telewizorem, pomyślała Mandy, albo zaprosi sobie którąś z koleżanek, albo tego miłego starszego pana, który mieszkał dwa domy dalej i wyraźnie babcie podrywał. Właśnie! To byłby pomysł.

- No dobra, pójde.

- Naprawdę? Zrobisz to dla mnie?

- Dobrze sformułowane. Zrobię to wyłącznie dla ciebie. Ale uprzedzam cię, jeśli Nick albo któryś z jego kolegów będzie miał równie udane pomysły jak ten z wrzucaniem śniegu za kołnierz, to mogę wyjść, zanim impreza rozpocznie się na dobre.

- Nie, nie zrobisz mi tego.

- Nie, jasne, że nie zrobię. Dam sobie wrzucać śnieg, pozwolę strzelać do siebie popcornem, a nawet gdyby któremuś z naszych superinteligentnych i dowcipnych kolegów przyszło do głowy strzelanie z prawdziwej broni palnej, to dam się zabić. Czego się nie robi dla najlepszej przyjaciółki! - zawołała Mandy, ale widząc zmartwioną twarz koleżanki, uspokoiła ją: - Przecież powiedziałam, że pójde. Czy zawiodłam cię kiedykolwiek?

Sara zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Nie, nigdy - odparła i odetchnęła z ulgą.

- Ale ty oczywiście dalej twierdzisz, że nie cieszysz się z wyjazdu na Karaiby z powodu tego okropnego Boba, - Mandy nie mogła sobie przypomnieć nazwiska, choć w ciągu minionego miesiąca słyszała je setki razy. - Jak mu tam?

- Boba Dickinsona.

- No właśnie, Boba Dickinsona.

- Nie wiesz, jaki on jest koszmarny - rzuciła Sara i skrzywiła się tak, jakby ten nieszczęśnik był Frankensteinem, Godzillą i Obcym w jednej osobie.

- Wiem i założę się, że wie o tym już cały Nowy Jork. No, może gdzieś na drugim końcu Harlemu znalazłoby się kilka osób, które jeszcze nie zostały poinformowane, jak ten okropny grubas zepsuł twoje szóste urodziny, najpierw zżerając, zanim zdążyłaś zdmuchnąć świece, cały tort, a potem puszczając pawia na twoją śliczną białą sukienkę w różowe kwiatki. - Mandy pokręciła głową i roześmiała się.

- Śmieję się, śmieję - powiedziała rozżalona Sara. - Poczekaj, aż ciebie ktoś obrzyga.

Jej przyjaciółka mimo to nie przestawała się śmiać.

- On jest naprawdę obrzydliwy - przekonywała ją Sara. Mandy nagle spowaźniała. Rozumiała, że sześciolatnie dziecko mogło mieć żal do swojego rówieśnika za to, że zepsuł jej urodziny, ale żeby siedemnastoletnia dziewczyna nie znosiła z tego powodu chłopaka, którego nie widziała na oczy od prawie jedenastu lat?

- Mówiłaś, że jego rodzice niedługo po tych twoich nieszczęsnych urodzinach przeprowadzili się na Zachodnie Wybrzeże, prawda?

Sara nie wiedziała, do czego zmierza przyjaciółka, ale zgodnie z prawdą skinęła głową.

- Więc skąd możesz wiedzieć, jaki ten chłopak jest teraz? Ludzie się zmieniają.

- Nie on.

Mandy zatrzymała się, bo nagle przypomniała sobie coś, o czym opowiadała jej jedna z koleżanek.

- A jak myślisz? - Zerknęła na przyjaciółkę z wyrazem triumfu w oczach. - Jak wyglądał Ross, kiedy miał sześć lat.

- Musiał być ślicznym dzieckiem - odparła Sara bez chwili wahania.

Mandy uśmiechnęła się i bez słowa ruszyła dalej.

- Dlaczego o to pytasz? - zaciekawiała się Sara.

Jej przyjaciółka wzruszyła tylko ramionami i przyspieszyła kroku. Śnieg zdążył się już stopić i ulice, zamiast białego puszystego dywanu, pokrywało błoto.

- Ohyda! - zawołała, kiedy wdepnęła w szaroburą wstrętną breję i ochlapała sobie nogawki dzinsów. - Białe Boże Narodzenie! - prychnęła ze złością. - Jak pomyśle, że ktoś, kto za dwa dni będzie się wylegiwał w kostiumie kąpielowym pod palmami, jeszcze narzeka, to mam ochotę go udusić.

Sara nie podjęła tego wątku; wróciła do poprzedniego.

- Dlaczego pytałaś o Rossa?

- Bo przypomniało mi się, co mówiła o nim Brytanie Scott. - Mandy celowo przerwała, żeby wzmocnić ciekawość przyjaciółki. - Ona chodziła z nim do podstawówki. - Znow zrobiła efekciarską pauzę.

Tym razem Sara nie wytrzymała i ponagliła ją:

- No i co?

- Być może Ross był, jak mówisz, ślicznym dzieckiem, tyle że szerszym niż wyższym. Sara zatrzymała się i przez dłuższą chwilę mierzyła ją podejrzliwym wzrokiem.

- Nie wierzę - odezwała się w końcu.

- Twoja sprawa. Mówię tylko to, co słyszałam od Brytanie Scott.

- Nie wierzę - powtórzyła Sara, a po chwili dodała. - Zresztą nawet gdyby tak rzeczywiście było, to co z tego? Co mnie obchodzi, jak Ross wyglądał kiedyś, ważne, że teraz... - Szukała odpowiednich słów na opisanie chłopaka swoich marzeń, ale jej przyjaciółka, która nie miała ochoty rozmawiać o Rossie, spytała:

- A nie przyszło ci do głowy, że ten Bob, może być dzisiaj całkiem przystojny?

- Niemożliwe! - W głosie Sary brzmiała taka pewność, że Mandy uznała, iż na ten temat nie ma sensu z nią dyskutować.

- No dobrze - powiedziała. - Załóżmy, że wciąż jest tłusciochem, ale to jeszcze nie znaczy, że nie jest fajnym chłopakiem. Weź, na przykład, takiego Dustina. - Dustin Cox niewątpliwie ważył dobrze ponad sto kilo, ale był jednym z najinteligentniejszych, najbardziej dowcipnych i najsympatyczniejszych chłopaków, jakich знаła. - Pewnie bym się w nim nie zakochała. Chociaż, kto wie? Ale gdyby mnie ktoś zapytał, z którym z kolegów najchętniej spędziłabym święta, myślę, że wybrałabym jego. Przecież ty też go lubisz.

- Jasne. Dustin jest fantastyczny, ale nie porównuj go z Bobem Dickinsonem. Bob jest...

Sara słyszała już setki razy, jaki jest Bob, i nie miała ochoty wysłuchiwać tego po raz kolejny, zmieniła więc temat.

- Jesteś już spakowana?

- Od tygodnia, to znaczy od chwili, kiedy zdałam sobie sprawę, że nie uda mi się przekonać mamy i taty, żeby polecili sami.

- Nie jesteś moją najlepszą przyjaciółką - powiedziała Mandy na pozór poważnym tonem. - A ja zamierzam w sylwestra tak się dla ciebie poświęcić.

Sara spojrzała na nią pytającym wzrokiem.

- Najlepsza przyjaciółka nie przekonywałaby rodziców, żeby polecili sami, tylko próbowałaby ich namówić, żeby zamiast niej zabrali na Karaiby jej najlepszą przyjaciółkę.

- Wiesz dobrze, że chętnie poszłabym na taki układ.

- Niestety, wiem. Zastanawiam się tylko, dlaczego tak inteligentna dziewczyna jak ja przyjaźni się z taką kretynką.

ROZDZIAŁ 2

- Bardzo mi przykro - powiedział pracownik obsługujący stoisko Air France na lotnisku w Miami - ale państwa samolot wystartował przed... - spojrzął na zegarek - przed dziesięcioma minutami.

Sara uśmiechnęła się z satysfakcją.

Połączenie wydawało się w miarę bezpieczne. Zgodnie z planem odlotów, mieli prawie dwie godziny, żeby się przesiąść w Miami na samolot do Fort - de - France, ale z nowojorskiej La Guardii odlecieli z godzinnym opóźnieniem, a kiedy wylądowali, musieli - nie wiadomo z jakiego powodu - ponad dwadzieścia minut czekać na jednym z bocznych pasów, zanim samolot podtoczył się pod budynek lotniska i podłączono rękaw, którym pasażerowie mogli przejść na terminal. Jeśli na La Guardii.

Sarę zdziwił panujący tam tłok, to tu zrozumiała, jak może wyglądać tłok naprawdę. Stacje nowojorskiego metra w godzinach szczytu to nic w porównaniu z tym, co działo się tutaj. Tam przynajmniej ludzie spokojnie stoją na peronach, czekając na przyjazd pociągu, tu, podnieceni, biegali w tę i w tę, nawoływali się nawzajem i ogólnie odnosiło się wrażenie, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata.

Sara patrzyła z politowaniem na tę nerwową krzątanicę ludzi zarażonych jakimś dziwnym wirusem, który, niestety, dotknął również jej rodziców.

- Nie zostawaj w tyle, bo się zgubisz! - zawołał do niej ojciec, gdy wyszli z rękawa.

Może to by było jakieś wyjście, przyszło do głowy Sarze, ale przyspieszyła kroku, bo prawdopodobieństwo zgubienia się w tym tłumie było rzeczywiście ogromne. Właśnie minęła jakiegoś zapłakane dziecko, który wołało swoją mamę.

Kiedy wreszcie dotarli do okienek, w których odbywała się odprawa, domyśliła się, że nie zdążą. Mama nie dała jednak za wygraną i postanowiła działać; chodziła wzdłuż kolejek i próbowała ubłagać różnych ludzi, żeby ich przepuścili, ponieważ ich samolot odlatuje za niecałe dziesięć minut. Wyglądało jednak na to, że, wszyscy są w podobnej sytuacji jak oni.

- Madame - powiedział jakiś mężczyzna z teksańskim akcentem. - Mój odleciał już pół godziny temu.

- To po co tu sterczysz, palancie? - bąknął ktoś za plecami Sary.

Zerknęła przez ramię i zobaczyła chłopaka z dreadami, mniej więcej jej rówieśnika, który stanął za nią jako ostatni w kolejce. Potem dalej, bez specjalnego zainteresowania, obserwowała matkę, która wciąż nie rezygnowała. Po chwili jednak znów się odwróciła;

chłopak miał w sobie coś, co ją zainteresowało. Nie dredy - nosił je co trzeci kolega z jej szkoły. Przyjrzała mu się uważniej i zrozumiała co. Wydawał się jedyną - oczywiście poza nią - osobą na tym lotnisku, której jest absolutnie wszystko jedno, czy polecą, czy nie. Popatrzyła na kobietę i mężczyznę, stojących koło chłopaka, i domyśliła się, że to jego rodzice. Na ich twarzach nie dostrzegła ani śladu tej obojętności, którą emanował ich syn.

Nie należała do dziewcząt, które łatwo nawiązują znajomości, i sama się zdziwiła, kiedy nagle cichym głosem zwróciła się do chłopaka z dredami:

- Ty też nie masz ochoty lecieć tam, gdzie lecisz?

- Skąd wiesz? - spytał zaskoczony.

- To widać - odparła, przesuwając się dwa kroki do przodu, bo kolejka się nieznacznie ruszyła.

Chłopak spojrzał na kobietę i mężczyznę, stojących obok niego., i wzruszył ramionami. Oboje trzymali słomiane przeciwsłoneczne kapelusze z wielkimi rondami, Sara domyśliła się więc, że oni również zafundowali sobie i swojemu synowi bożonarodzeniowo - noworoczną podróż w tropiki.

- Pociesz się, że nie jesteś jedyny - powiedziała. - Ja też wolałabym zostać w domu. - Zerknęła na matkę, która nie ustając w swych poczynaniach, właśnie dotarła na początek kolejki i perswadowała coś jakiejś parze starszuchów. Ojciec nie pomagał jej w tym, ale solidarnie stał u jej boku.

- Dokąd lecisz? - spytał chłopak.

- Na Martynikę - odparła Sara i nagle poczuła błysk nadziei. Miło by było mieć w pobliżu jakąś bratnią duszę, kogoś, kto jest w takiej samej sytuacji jak ona. - A ty?

- Na Jamajkę.

Próbowała ukryć rozczarowanie, lecz wiedziała, że jej się to nie udało. Na ułamek sekundy poczuła się głupio, uświadomiła sobie bowiem, że chłopak może sobie Bóg wie co pomyśleć.

Ale on nic sobie nie pomyślał. Rzucił tylko:

- Szkoda.

A wyraz jego oczu jednoznacznie mówił, że powiedział to zupełnie szczerze.

- Długo będziesz na tej Jamajce? - spytała.

- Dwa tygodnie - odparł z nieszczęśliwą miną.

- Tak jak ja. - Uśmiechnęła się do niego pokrzepiająco. - Jakoś to zniesiemy.

- A mamy inne wyjście?

- Chyba nie. - Sara popatrzyła na zegarek. Ich samolot powinien odlatywać dokładnie za dwie minuty. - Ale ja jeszcze mam jakąś szansę.

Chłopak z dreadami spojrzał na nią, nie bardzo rozumiejąc, o co jej chodzi, lecz nie miała już okazji do wyjaśnień, bo jego ojciec nagle doszedł do wniosku, że inna kolejka wydaje się bardziej obiecująca, i pociągnął do niej żonę i syna.

Trzymaj się! - rzucił chłopak, idąc za rodzicami.

- Ty też! - zawołała za nim Sara, po czym spojrzała na matkę, która z opuszczonymi ramionami wracała na koniec kolejki.

Minęło dwadzieścia minut, zanim przeszli przez odprawę, i kolejnych dziesięć, zanim wreszcie dotarli do stanowiska linii lotniczych, którymi mieli lecieć na Martynikę. Ich samolot wystartował z kilkuminutowym opóźnieniem, mimo to nie zdążyli na czas.

- Ładny początek podróży - rzuciła Sara pod nosem, kiedy usłyszała słowa pracownika Air France.

Matka, widząc jej uśmiech, zgromiła ją takim wzrokiem, że dziewczyna odwróciła się i więcej się nie odezwała.

Stosunki w domu już od dłuższego czasu były dosyć napięte. Rodzice, którzy z niecierpliwością czekali na dzień odlotu, mieli jej za złe, że nie podziela ich entuzjazmu. Nie mogła im przecież powiedzieć, że dla niej ważniejsze niż to, gdzie spędzi ferie, jest to, z kim je spędzi. Przed dwoma miesiącami skończyła siedemnaście lat i była pewna, że dla większości dziewcząt w jej wieku - Mandy była jednym z tych nielicznych wyjątków - dwutygodniowy wyjazd z rodzicami nie jest aż taką atrakcją. Mamie i tacie jednak najwyraźniej nie przyszło to do głowy, zwłaszcza mamie, cieszącej się perspektywą spędzenia urlopu z dawną przyjaciółką, z którą ostatnio odnowiła kontakty, i z jej rodziną.

Awantura cały czas wisiała w powietrzu i Sara czuła, że teraz, kiedy rodzice byli okropnie zdenerwowani, wystarczyłoby jedno jej słowo, żeby wywołać prawdziwą burzę.

- Nie, to niemożliwe - zwróciła się matka do pracownika Air France.

- Niestety, tak.

- I co w związku z tym? - zapytał rzeczowo tata. - O której odlatuje następny samolot na Martynikę?

- O jedenastej - rzekł mężczyzna za kontuarem. Ojciec spojrzał na zegarek i popatrzył na niego tak, jakby miał do czynienia z dzieckiem specjalnej troski.

- Mamy jedenastą piętnaście - powiedział spokojnie. Każdy rozsądny człowiek wie, że do dzieci opóźnionych w rozwoju należy przemawiać takim właśnie tonem.

- O jedenastej w piątek - wyjaśnił mężczyzna równie spokojnym tonem.

Sara widziała, jak w jej tacie wszystko się gotuje.

I mimo że cała ta sytuacja była jej bardzo na rękę, bo potwierdzała tylko to, co sama czuła - że nie powinni wyjeżdżać z Nowego Jorku - patrzyła na ojca nie bez pewnego podziwu. Mama jednak była jak najdalsza od tego, co jest powszechnie uznawane za spokojną postawę.

- Pan chyba żartuje. To dopiero za trzy dni. Właściwie już po świętach. - Zawsze, kiedy była zdenerwowana, jej głos przypominał pisk. Teraz go nie przypominał, teraz najzwyczajniej w świecie piszczała.

Pracownik Air France patrzył na nią tak, że Sara pomyślała, że gdyby kiedykolwiek w życiu ktoś na nią tak spojrzał, udusiłaby go i ani przez chwilę nie miałaby potem wyrzutów sumienia. Ojciec czekał cierpliwie, aż matka się wypiszczy, po czym znów rzeczowym tonem zwrócił się do mężczyzny za kontuarem:

Ten przez chwilę jeszcze czekał na kolejny wybuch mamy Sary, ale jej może na chwilę odeszła ochota na złożenie Air France i innym liniom lotniczym, może zabrakło tchu, w każdym razie zamilkła i miał możliwość powiedzieć:

- Proszę chwileczkę poczekać. Zobaczą, co da się dla państwa zrobić. To nie będzie proste - mówił dalej, naciskając jednocześnie guziki klawiatury komputera. Tak... - powiedział, wpatrując się w ekran - po dwudziestym piątym grudnia nie byłoby problemu.

- Proszę pana, dwudziesty piąty jest za trzy dni, właściwie już po świętach - rzekł ojciec. Sara słyszała napięcie w jego głosie, ale była przekonana, że ktoś, kto go nie zna, z pewnością go nie wyczuje.

Rodzice czekali, wstrzymując oddech; Sara również, tyle że oni mieli nadzieję na zupełnie inną odpowiedź niż ona.

Pracownik Air France przez kilka minut mruczał tylko coś pod nosem. Wreszcie podniósł wzrok znad klawiatury komputera i uśmiechnął się triumfalnie.

- Chyba znalazłem coś dla państwa.

Sara spuściła głowę, jej rodzice spojrzeli na niego wyczekująco.

- Są dwa miejsca na lot do San Juan na Puerto Rico. Jest tylko jeden problem. Musieliby państwo polecieć innymi liniami lotniczymi, Air Caraibes. Mogę państwa jednak zapewnić, że są to linie jak najbardziej godne zaufania.

Sara, która nagle znów poczuła przyływ nadziei, uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Dwa miejsca! To było to, o co jej chodziło! Rodzice mogliby spędzić wakacje swoich marzeń, podczas gdy ona wróciłaby do Nowego Jorku. Boże Narodzenie spędziłaby u

cioci Barbary, siostry taty - jakoś by wytrzymała towarzystwo Sally i Amy, dwóch nieznośnych młodszych kuzynek - a sylwestra... Ale ojciec szybko rozwiął jej nadzieje.

- Proszę pana - odezwał się cicho, lecz zdecydowanie, znów wracając do tonu, jakim rozmawia się z osobami, które zatrzymały się na pewnym, dosyć wczesnym, etapie rozwoju. - Może pan tego jeszcze nie zauważył, ale jest nas troje i albo polecimy we trójkę, albo nie polecimy w ogóle.

- A wtedy - wtrąciła się mama, która nagle odzyskała głos - oskarżymy Air France.

Sara nie dowiedziała się, kogo jeszcze zamierzała oskarżać jej matka, bo ojciec nie dał jej skończyć.

- Uspokój się, skarbie, jeszcze dziś wszyscy troje będziemy na Martynice.

Powiedział to takim tonem, że Sara nie miała najmniejszych wątpliwości, że nic już jej nie uratuje i najbliższe dwa tygodnie spędzi na jakiejś cudacznej wyspie w towarzystwie chłopaka, z którym wcale nie miała ochoty się spotykać.

Tata popatrzył na pracownika Air France takim wzrokiem, że ten zaczął jeszcze szybciej przebierać palcami po klawiaturze i po kilku minutach obwieścił:

- O pierwszej piętnaście odlatuje samolot Air Caraibes do San Juan.

- My nie chcemy lecieć do żadnego San... - zapiszczała matka S ary.

- W porządku, kochanie - przerwał jej ojciec. - San Juan jest na Puerto Rico. Stamtąd jest już całkiem blisko na Martynikę. Daj panu skończyć.

Mama posłusznie zamilkła, a Sara słuchała już bez najmniejszej nadziei. Zastanawiała się tylko, co takiego zrobiła, że zasłużyła sobie na taką karę. Za jakie grzechy?!

- I są jeszcze trzy miejsca? - spytała matka. W jej głosie nie było już słyhać paniki.

- Tak, oczywiście. Są nawet cztery.

- Nie, nie - rzuciła mama. - Nie potrzebujemy czterech. Wystarczą nam trzy, w zupełności.

Sara, wstydząc się jej zachowania, wzniosła oczy do nieba, ale po chwili zaczęła mieć wyrzuty sumienia. Mama nie była przecież głupia; czasami tylko, w krytycznych sytuacjach, wpadała w panikę i zdarzało jej się mówić trochę bez sensu. Tata również o tym wiedział, więc z pełnym wyrozumienia uśmiechem objął mamę ramieniem.

- Z San Juan o piętnastej dziesięć startuje samolot linii LIAD do Pointe - a - Pitre - oznajmił mężczyzna za kontuarem.

- Dokąd? - spytała zaniepokojona mama.

Tym razem ojciec nie pospieszył z wyjaśnieniem. Jemu również ta nazwa nic nie mówiła.

- Pointe - a - Pitre - powtórzył pracownik Air France. - To główne miasto Gwadelupy, która, podobnie jak Martynika, jest zamorską kolonią Francji - dodał. - Lądowanie w Pointe - a - Pitre jest o czwartej osiemnaście i dokładnie pół godziny później wylatuje stamtąd samolot Air Caraibes na Martynikę. Na miejscu będą państwo o szóstej trzydzieści.

- Wspaniale! - zawołała matka.

- Mówiłem, że jeszcze dzisiaj będziemy na miejscu - powiedział ojciec, spoglądając na żonę i córkę.

Tylko ta pierwsza odpowiedziała mu radosnym uśmiechem.

Druga uśmiechnęła się sceptycznie i bąknęła pod nosem.

- No, chyba że przegapimy kolejny samolot.

Niestety, nie przegapili. Już kiedy niewielki samolot linii Air Caraibes startował z lotniska na Gwadelupie, zapadał zmierzch, a gdy wylądowali na Martynice, mimo że nie było jeszcze siódmej, zrobiło się zupełnie ciemno.

To dobrze, pomyślała Sara, wychodząc z samolotu. Kiedy tylko znajdziemy się w hotelu, natychmiast pójdę do łóżka. Dzięki temu może przynajmniej dzisiaj uniknę spotkania z Bobem. Po trzech przesiadkach i czekaniu w zatłoczonych terminalach czuła się zmęczona. Kiedy była w połowie trapu, zatrzymała się, żeby złapać oddech. Już po raz trzeci tego dnia przeżywała szok po wyjściu z klimatyzowanego wnętrza samolotu na gorące powietrze. Lotniska na Wyspach Karaibskich są tak niewielkie, że nie ma potrzeby podłączania rękawów; pasażerowie schodzą po trapie na płytę lotniska i stamtąd przechodzą do terminali. Sara miała więc okazję i w San Juan, i w Pointe - a - Pitre doświadczyć, co znaczy tropikalny klimat. Teraz, mimo wieczornej pory, było równie, a może nawet bardziej gorąco. Ale to nie przez wysoką temperaturę oddychało się tak ciężko, lecz z powodu panującej tu wilgoci.

- Przyzwyczaisz się do tego - powiedział ojciec, widząc, że córka po zejściu na płytę lotniska znów zatrzymuje się i chwyta powietrze małymi haustami, jakby nie była w stanie nabrać do płuc większej ilości za jednym razem. - To samo było na Puerto Rico i Gwadelupie.

- Nie, tu jest gorzej - rzuciła. - Poza tym tam mieliśmy tylko przesiadki, a to tutaj będę musiała znosić przez całe dwa tygodnie.

- Zobaczysz, że się przyzwyczaisz - rzucił ojciec z uśmiechem, pociągając ją za ramię.

- No, chodź już, przejdziemy szybko przez odprawę i jedziemy do hotelu.

- Tato, ale tu jest naprawdę większy upał niż tam - upierała się Sara, idąc za nim z ociąganiem. - Nie mogła się nadziwić, że on i mama po tej wyczerpującej podróży są w tak świetnej formie; promienieli świeżością i zapałem, tak jakby ten potwornie długi dzień dopiero się rozpoczął.

- Może i masz rację - przyznał tata. - Ale to chyba jest logiczne, jesteśmy przecież ładnych kilkaset kilometrów bliżej równika - wyjaśnił. - I, o ile się nie mylę, to zarówno San Juan, jak i Pointe - a - Pitre, leżą od strony Atlantyku, podczas gdy Fort - de - France jest nad Morzem Karaibskim.

- Tak, masz rację - wtrąciła się matka. Ani ona, ani jej mąż nie byli jeszcze na żadnej z wysp karaibskich, ale oboje przygotowali się do tego urlopu, kupując dwa przewodniki, czytając je dokładnie i planując, co zobaczą.

Sara, oczywiście, mimo zachęt z ich strony nie pofatygowała się nawet, żeby zajrzeć do któregoś z nich. Nie wynikało to z jej ignorancji - było jednym ze sposobów pokazania rodzicom, jak bardzo nie podoba jej się pomysł tej podróży.

- Ale jaki to ma związek z tym, że tu jest tak nieznośnie gorąco? - spytała, nie dlatego, że ją to specjalnie interesowało, ale raczej dlatego, że starała się nie przegapić żadnej okazji, by wyrazić swoje niezadowolenie.

- Jak to jaki? - Ojciec zmierzył ją krytycznym wzrokiem. - Atlantyk jest oceanem, wielkim otwartym morzem, od strony którego wieją silne wiatry, a Morze Karaibskie jest znacznie spokojniejsze. Od zachodu graniczy ze stałym lądem, od wschodu zamyka je łańcuch wysp. - Przerwał, bo zorientował się, że córka wcale go nie słucha.

Ze znudzoną miną patrzyła na taśmę, na której zaczęły się pojawiać pierwsze bagaże.

ROZDZIAŁ 3

Półtorej godziny później podjechali pod hotel taksówką niczym, a zwłaszcza wielkością, nie przypominającą tych w Nowym Jorku. To był jakiś europejski samochód. Pewnie francuski, pomyślała Sara, bo kiedy usłyszała akcent ciemnoskórego kierowcy, przypomniała sobie to, co mimochodem usłyszała od rodziców - że Martynika należy do Francji.

Kiedy zobaczyła hotel, musiała bardzo się starać, żeby nie okazać zadziwienia. Gdyby ktoś jej wcześniej powiedział, że tego dnia spotka ją jakieś miłe zaskoczenie, odparłaby, że to zupełnie niemożliwe. A jednak.

- Boże, jak tu pięknie - odezwała się matka, rozplývając się w zachwycie. - Jak w raju.

Sara wiedziała, że trudno by było się z nią nie zgodzić. Nie była już w stanie przywołać na twarz wyrazu znudzenia, ale próbowała nie okazywać żadnych emocji.

- Chyba od dzisiaj będę wierzyć w to, co pokazują w prospektach biur podróży - powiedziała matka, rozglądając się.

Rodzice podsuwali Sarze te prospekty, ale ona nie raczyła nawet rzucić na nie okiem. Teraz trochę tego żałowała. Gdyby to zrobiła, nie musiałyby się tak wysilać, żeby zapanować nad osłupieniem wywołanym widokiem hotelu, niczym nie przypominającego tych, które znała, nawet tych najbardziej ekskluzywnych. Na szesnaste urodziny rodzice zabrali ją do Orlando i mieszkali w pięciogwiazdkowym Crowne Plaza, ale tego, co miała przed sobą, nie można było porównać z niczym, co widziała dotychczas. To nie był wielki gmach, lecz kompleks niskich lekkich zabudowań, idealnie wtopionych w tropikalną roślinność. Hotelowe lobby i recepcja mieściły się pod krytym palmowymi liśćmi dachem. Kolonialne w stylu, ratanowe białe kanapy i fotele, pokryte jasnymi bawełnianymi obiciami w pastelowych kolorach, doskonale współgrały z otoczeniem.

Jeszcze bardziej niż widok poraził Sarę zapach. Tego wieczoru nie wiedziała jeszcze, co to za zapach, ale wiedziała, że zawsze będzie jej się kojarzył z Karaibami. Z czasem dowiedziała się, co się na niego składa - aromat mleczka kokosowego, syropu z trzciny cukrowej, słonej morskiej bryzy, kwitnących wszędzie kwiatów hibiskusa i limonki, przede wszystkim limonki. I czegoś jeszcze. Ale do tego już nie doszła. Co więcej, była pewna, że nawet gdyby zapytała o to Kreolów, starych mieszkańców Martyniki, nie potrafiliby jej

odpowiedzieć. Tak samo jak była pewna, że ani w Nowym Jorku, ani w żadnym innym miejscu na ziemi poza Karaibami nie poczuje już tego zapachu.

Poczuła jeszcze coś, co sprawiło, że nie była już w stanie zachować obojętnego wyrazu twarzy: że można kochać miejsca. Dotychczas nie zdawała sobie z tego sprawy. Lubiła Nowy Jork; to było jej miasto. Ale kochać? Nigdy by tak nie określiła stosunku do swojego rodzinnego miasta. A tymczasem teraz przyszło jej nagle do głowy, że kocha Karaiby. Zakochała się w nich od pierwszego wejrzenia. Nie od wejrzenia. Od pierwszego... Długo szukała odpowiedniego słowa. Od pierwszego niucha!

Pięć minut później siedziała już w wygodnym fotelu, podczas gdy rodzice załatwiali formalności przy recepcji. Zamknęła oczy, odchyliła głowę na oparcie i rozkoszowała się tym nowym cudownym zapachem.

Nie zauważyła, że ktoś się do niej zbliżył, dopiero kiedy usłyszała znaczące chrząknięcie, uniosła powieki.

- *Mademoiselle* - powiedział młody przystojny kelner, podsuwając jej tacę, na której stało kilka koktajlowych kieliszków, egzotycznie ozdobionych kawałkami ananasa i jakichś innych nieznanymi jej owoców.

Sarze pociekła ślinka, mimo to odezwała się nieśmiało:

- Aleja...

Kelner być może nie był najlepszy w angielskim, lecz okazał się wyjątkowo domyślny.

- *Sans alkohol* - rzekł z uśmiechem, zerkając na apetycznie wyglądające napoje na tacy.

- No właśnie - bąknęła Sara i w tym momencie obiecała sobie solennie, że jednak pójdzie za radą Mandy, która od roku próbowała ją namówić do nauki francuskiego.

- Alkohol nie - zachęcał ją dalej przystojny kelner o ciemnej karnacji.

Zdołała się na odwagę, sięgnęła po napój i natychmiast go spróbowała. Nie miała pojęcia, z czego go przyrządzono, ale wiedziała na pewno, że nie ma w nim alkoholu i że jest przepyszny.

Gdyby pięć minut wcześniej nie zakochała się w Karaibach z powodu ich zapachu, zrobiłaby to teraz, czując ich smak.

- *Mademoiselle* podoba się Martynika? - zapytał kelner.

- Och, tak - odparła Sara bez chwili wahania. Miała tylko nadzieję, że nie słyszeli tego rodzice, którzy załatwili już formalności i właśnie podchodzili do stolika, przy którym siedziała.

- Wszystko załatwione - oznajmiła matka, po czym wraz z ojcem usiadła na kanapie naprzeciwko niej, żeby wypić powitalne drinki, które podsunął im kelner. - Musimy jak najszybciej zadzwonić do Dickinsonów. Martha jest na pewno bardzo zaniepokojona. Spodziewali się nas tutaj ładnych parę godzin temu. Zobaczę, może mi się uda - powiedziała, odstawiała na stół drinka i wyjęła komórkę. Po chwili okazało się jednak, że telefon, podobnie jak na lotnisku w San Juan i Pointe - a - Pitre, nie ma zasięgu. - Nie szkodzi - rzuciła, chowając go do torebki. - W recepcji dali mi numer ich bungalowu. - Zadzwonię, kiedy tylko dotrzemy do naszego. - Sięgnęła po drinka i pociągnęła przez słomkę. - Pyszne to, praw da? - zwróciła się do córki i męża, ale odpowiedział jej tylko mąż.

- Wspaniale.

Sara była już po uszy zakochana w Karaibach, postanowiła jednak nie zdradzać się z tym przed rodzicami. Kilka minut później pracownik recepcji prowadził ich do bungalowu, objaśniając po drodze, gdzie co jest. Szli asfaltową dróżką wijącą się wśród wypielegnowanego ogrodu pełnego palm kokosowych, krzewów hibiskusa, wielkich agaw i innych egzotycznych roślin, z których większość Sara widziała po raz pierwszy w życiu. Zanim doszli na miejsce, minęli restaurację, dwa bary, siłownię oraz wielki kompleks składający się z trzech basenów o nieregularnych kształtach, z których każdy był na innym poziomie, tak że woda kaskadami przelewała się z jednego do drugiego po stopniach do złudzenia przypominających naturalne skały.

Sara stanęła jak wryta na ten widok i z zachwytu zapało jej dech w piersiach. Potem musiała przyspieszyć kroku, żeby dogonić rodziców, którzy idąc za pracownikiem recepcji, tak się wysforowali do przodu, że na chwilę straciła ich z oczu.

W restauracji, barach, w pobliżu basenu i na ogrodowych ścieżkach widać było ludzi, lecz teren hotelu był tak olbrzymi, że nawet gdyby urlopowiczów było dwa razy więcej i tak nie mogłoby być mowy o tłumach. Po tłoku na terminalach lotnisk to miejsce sprawiało wręcz wrażenie wyludnionego. Nie było również hałasu; dochodzące z barów i restauracji dźwięki karaibskiej muzyki w połączeniu z szumem morza i szelestem poruszanych wiatrem liści palm tworzyły przyjemną dla ucha harmonijną całość.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił pracownik hotelu, zatrzymując się przed bungalowem o stromym, schodzącym aż do ziemi dachu, krytym trzcina cukrową.

Chata wyglądała niepozornie. Patrząc z zewnątrz, trudno byłoby się domyślić, że mieści się w niej całkiem przestronny salon, dwie sypialnie i łazienka. Pokój Sary był niewielki, ale bardzo przyjemnie urządzone, jak pozostałe pomieszczenia w bungalowie i hotelowe lobby - lekkimi jasnymi meblami z ratanu. Doszła do wniosku, że ratan jest

jedynym surowcem na Karaibach służącym do wyrobu mebli. Nie miała, oczywiście, nic przeciwko temu; jej ten styl bardzo się podobał.

Trochę zmęczona nadmiarem wrażeń, rozciągnęła się na łóżku i zamknęła na chwilę oczy. Unosząc powieki, kątem oka dostrzegła w górze jakiś ruch. Kiedy zidentyfikowała jego źródło, w pierwszej chwili wzdrygnęła się z odrazą, lecz dwie minuty później zafascynowana patrzyła na dwie zielone jaszczurki biegające po suficie. Miały najwyżej po dziesięć centymetrów długości i były prześliczne. Sara, która po raz pierwszy w życiu, pomijając wizyty w zoo, widziała te stworzenia na żywo, nie była w stanie zrozumieć, że kiedyś mogła się ich brzydzić.

Kiedy jaszczurki umknęły do swoich kryjówek, usiadła na łóżku i właśnie zastanawiała się, czy najpierw się rozpakować, czy wykapać, gdy mama wetknęła przez uchylone drzwi głowę do jej pokoju.

- Pośpiesz się. Weź szybko prysznic i przebierz się w coś świeżego. Za dwadzieścia minut jesteśmy umówieni z Dickinsonami na kolacji.

- Na kolacji? - zawołała Sara. - Przecież jedliśmy dzisiaj już dwie kolacje - powiedziała i przypomniała sobie, że rodzice zjedli obiad, kiedy lecieli z Miami do San Juan, ale w trakcie następnych lotów zrezygnowali z posiłków.

Ojciec, który często latał służbowo do różnych miast w Stanach Zjednoczonych, nie znosił jedzenia serwowanego w samolotach, namawiał więc ją i matkę, żeby poczekały, aż dotrą na miejsce. Mama posłuchała jego rady, lecz Sara, chyba bardziej, żeby zrobić rodzicom na przekór, niż z głodu, zjadła jeden posiłek w samolocie, którym lecieli na Gwadelupę, a potem jeszcze drugi w czasie następnego lotu.

Ojciec, niestety, miał rację. Teraz z niesmakiem pomyślała o tym, czym się napakowała, i żałowała swojej głupiej przekory, zwłaszcza kiedy przypomniała sobie smakowite zapachy, które unosiły się w powietrzu, gdy mijali hotelową restaurację.

- Mamo, nie będę już dzisiaj w stanie wziąć nic do ust - powiedziała zgodnie z prawdą.

- Mówiłem ci, żebyś nie jadła tych świństw w samo locie! - zawołał tata z salonu. - Ale ty, oczywiście, nie chciałaś mnie słuchać.

- Trudno - rzekła matka. - Nikt nie będzie cię zmuszał do jedzenia, ale przynajmniej z nami posiedzisz.

- Muszę? Mamo, ja na serio jestem zmęczona. Chcesz, żebym wam tam zasnęła z głową na stole? - Oczy na prawdę zaczynały jej się kleić.

Ojciec, wycierając ręcznikiem włosy, wszedł do pokoju Sary i przyjrzał jej się uważnie.

- Rzeczywiście nie wyglądasz najlepiej - ocenił i spojrzał pytająco na żonę.

- Gdyby wzięła prysznic, z pewnością poczułaby się jak nowo narodzona. Ale jeśli nie ma ochoty z nami iść, to nie będziemy jej ciągnąć na siłę - odparła z pretensją w głosie.

Sara ucieszyła się, że jej miłości do Karaibów nie zmaćci - przynajmniej tego pierwszego wieczoru - towarzystwo Boba Dickinsona.

- Kładź się do łóżka i wyśpij się porządnie - poradził jej ojciec. - Bo jutro czeka cię piękny dzień.

- Tak zrobię - powiedziała i naprawdę miała taki zamiar, ale kiedy kwadrans później odświeżeni rodzice, w lekkich wakacyjnych strojach, poszli na kolację, a ona wzięła długi chłodny prysznic, całe zmęczenie gdzieś znikło i zupełnie odechciało jej się spać.

Dochodziła dopiero dziewiąta, postanowiła więc narzucić coś na siebie, wyjść i zobaczyć, jak wygląda hotelowa plaża. Kiedy sięgnęła do wyłącznika, żeby zgasić światło w swoim pokoju, niemal spod jej palców coś czmychnęło. Zielona jaszczurka, prawdopodobnie jedna z tych dwóch, które wcześniej widziała na suficie, w mgnieniu oka przebiegła ze dwa metry po ścianie i zatrzymała się w bezpiecznej odległości. Sara miała wrażenie, że stworzenie przygląda jej się swoimi małymi wylupiastymi oczkami.

- Cześć, wychodzę na chwilę - zwróciła się do jaszczurki jak do starej znajomej, zgasła światło u siebie, a potem w salonie i wyszła na taras.

W bungalowie, dzięki klimatyzacji, panował przyjemny chłód. Na zewnątrz pierwszy haust wilgotnego gorącego powietrza znów był szokiem. Tym razem jednak nie wpadła w panikę i wkrótce oddychała już normalnie. Zeszła po stopniach tarasu na ścieżkę i rozejrzała się. W pierwszej chwili nie potrafiła się zorientować w otoczeniu, ale kiedy usłyszała dochodzące z oddali dźwięki karaibskiej muzyki, domyśliła się, gdzie są bary i restauracja, a szum fal za jej plecami nieomylnie wskazywał, gdzie powinna szukać plaży.

Odwróciła się i ruszyła wąską asfaltową alejką, przy której co kilkanaście metrów ustawiono niskie, dające łagodne światło latarnie. Dzisiejszej nocy to oświetlenie okazało się właściwie niepotrzebne, przypadała bowiem pełnia księżyca, a niebo usiane było tysiącami gwiazd.

Nie spieszyło jej się; szła wolnym krokiem, co chwila zatrzymując się przy jakiejś roślinie, która wydała jej się szczególnie interesująca. Najbardziej zdziwiły ją gwiazdy betlejemskie. Dotychczas zawsze wydawało jej się, że te bożonarodzeniowe kwiaty rosną tylko w doniczkach, a tu wydawały się najbardziej pospolitą rośliną ogrodową.

Po jakichś trzystu metrach asfaltowa dróżka skończyła się. Sara zdjęła sandały i weszła na piaszczystą plażę, która ciągnęła się wzdłuż zatoki niezbyt szerokim pasem, po prawej i lewej ręce dziewczyny. Na wprost było drewniane molo, tak długie, że niewielka oświetlona altanka na jego końcu stała w miejscu, gdzie kończyła się już zatoka i zaczynało otwarte morze. Miała ochotę tam pójść, ale w altanie była jakaś para, uznała więc, że nie będzie jej przeszkadzać, i ruszyła w prawo.

Szła przy samym brzegu. Ciepłe fale delikatnie muskały jej stopy, które zapadały się lekko w miękkim piasku. Drogę co pewien czas przebiegały jakieś stworzonka, by natychmiast zniknąć w jednej z niewielkich dziur, których było tu mnóstwo. Dopiero po chwili zorientowała się, że te niezwykle szybkie żyjątka to kraby. Tuż przy plaży rosły palmy kokosowe, niektóre tak mocno przechylone w stronę morza, że ich liście zanurzały się w wodzie i trzeba było przeskakiwać przez pień, żeby iść dalej. Sara dotarła do pomostu, przy którym było zacumowanych kilka motorówek i stał niewielki drewniany pawilon. Jak głosiły napisy, mieściło się tu hotelowe centrum nurkowania. Na chwilę zatrzymała się, żeby obejrzeć robione pod wodą zdjęcia. Lubiła pływać, nigdy jednak nie pociągało jej nurkowanie, ale kiedy zobaczyła fotografie pięknie ubarwionych koralowców i bajecznie kolorowych ryb o przeróżnych kształtach, przyszło jej do głowy, że może warto by było spróbować.

- Wszystko w porządku? Mogę w czymś pomóc?

W pierwszej chwili wystraszyła się, słysząc za plecami bardzo niski głos. Ale przyjazny uśmiech niewiele od niej starszego ciemnoskórego chłopaka w stroju, jaki nosili pracownicy hotelu, uspokoił ją. Poza tym ucieszyła się, że chłopak mówi świetnie po angielsku, bez żadnych francuskich naleciałości.

- Tak, oczywiście, że wszystko jest w porządku - odparła. - Podziwiam te piękne ryby.

- Jesteś tu od niedawna, prawda?

Sara nie musiała pytać, jak się tego domyślił. Kiedy w hotelowym lobby i potem w drodze do bungalowu mijała innych opalonych już turystów, żałowała, że w nowym Jorku nie poszła kilka razy do solarium.

- Przyleciałam dopiero dzisiaj.

- Pierwszy raz na Martynice?

- Pierwszy raz w ogóle na Karaibach. - Znów popatrzyła na zdjęcia ryb i koralowców.

- I naprawdę to wszystko - wskazała na fotografie - można tutaj zobaczyć?

- Pewnie. No, może przy niektórych trzeba mieć trochę szczęścia, żeby na nie trafić.

- A ta, na przykład? - spytała, wskazując rybę, na której cała gama turkusów wyjątkowo pięknie i subtelnie przechodziła w różne odcienie fioletów.

- A, ta... - Chłopak lekceważąco machnął ręką. - Ryba papuzia. Tych jest tu chyba najwięcej.

- No tak - odezwała się z żalem Sara. - Tylko że ja nie nurkuję.

- Zawsze możesz przecież zacząć.

- To nie takie proste, musiałabym najpierw zrobić kurs. Chłopak roześmiał się.

- Nie mówię o nurkowaniu z akwalungiem. Umiesz trochę pływać?

- Jasne. - Nie chciała się chwalić, ale w zeszłym roku była na wuefie najlepsza w klasie w stylu klasycznym, a druga w dowolnym.

- No to jaki problem? Wystarczy ci tylko maska i płetwy, które w każdej chwili możesz tu wypożyczyć. Widzisz to miejsce na końcu zatoki, tam gdzie załamują się fale? - spytał, wyciągając przed siebie rękę.

Sara popatrzyła we wskazanym kierunku.

- Aha, rzeczywiście, widzę białe grzywy.

- To rafa koralowa. Miejscami podchodzi prawie pod powierzchnię wody. Wystarczy włożyć maskę i popatrzeć w dół. Nie ma potrzeby nawet nurkować, trzeba tylko uważać, żeby nie pokaleczyć się o rafę. Tu akurat nie ma może najwięcej ryb - ciągnął chłopak. - Trochę za dużo ludzi. Ale hotel dwa razy dziennie, o siódmej rano i o czwartej po południu, organizuje dla swoich gości wyjazd na inną rafę. Jest jakieś pięć kilometrów stąd i, moim zdaniem, to najładniejsza rafa koralowa na Martynice.

Sarę coraz bardziej dziwiła biegłość, z jaką chłopak posługuje się angielskim, zupełnie jakby to był jego ojczysty język. Postanowiła go o to zapytać.

- Skąd tak dobrze znasz angielski? Tu przecież wszyscy mówią po francusku.

- Wcale nie wszyscy - zaprotestował. - Większość mówi po kreolsku.

Nie wiedziała nawet, że istnieje taki język, i coraz bardziej zaczynała żałować, że jednak nie zajrzała do podsuwanych jej przez rodziców przewodników.

- Ale ja nie pochodzę z Martyniki - mówił dalej chłopak. - Urodziłem się i wychowałem na Saint Lucia.

- Gdzie?

- Na Saint Lucia. To sąsiednia wyspa. Leży kilkadziesiąt kilometrów stąd. Dwie godziny drogi łodzią albo katamaranem.

- Też jest taka piękna jak Martynika?

- Jeszcze piękniejsza. I co najważniejsze - dodał z du mą - nie jest już angielską kolonią. Jest nasza.

Sara nie czytała wprawdzie przewodników o Karaibach, ale we wrześniu omawiali na historii problemy dekolonizacji w tym regionie i miała o tym jakieś takie pojęcie. Wiedziała, na przykład, że niektóre narody, uzyskując niepodległość, popadały w jeszcze większą nędzę niż za czasów kolonialnych.

Z jakiegoś powodu ten chłopak nie pozostał na swojej wyspie, z której był tak dumny, lecz zarabiał na chleb w zamorskiej francuskiej kolonii. Wiedziała jednak, że jest to dosyć bolesny temat, i nie chciała go rozpoczynać.

- Pewnie masz coś do roboty - zwróciła się do chłopaka z przyjaznym uśmiechem. Dopiero teraz zauważyła, że trzyma w ręce wiadro, - A ja zawracam ci tu głowę.

- Nie, skończyłem pracę dwie godziny temu. Teraz idę zanieść kolację swojemu przyjacielowi.

Zerknęła do wiadra i z trudem powstrzymała się, żeby nie wzdrygnąć się z obrzydzenia. Nagle zawstydzila się i zrobiło jej się potwornie przykro. W tym ekskluzywnym hotelu można było zapomnieć, że Karaiby to Trzeci Świat. Jadąc z lotniska, nie wyglądała przez okno, nie mogła więc dostrzec biedy, ale teraz pomyślała, że takie hotele jak ten muszą być tutaj enklawami luksusu w morzu biedy. Zawartość wiadra - jakieś obrzydliwe resztki, które pozostają po patroszeniu ryb - jednoznacznie na to wskazywała.

Tak pochłonęły ją te rozmyślenia nad panującą na świecie niesprawiedliwością, że dopiero po chwili zauważyła, że jej rozmówca się śmieje.

- Dlaczego się śmiejesz? - spytała zaskoczona.

- Chodź, poznasz mojego przyjaciela, to zrozumiesz dlaczego.

- Nie, powinnam już wracać do bungalowu - odparła po chwili wahania. Zdawała sobie sprawę, że to z jej strony tchórzostwo, ale nie była dzisiaj gotowa na konfrontację z nędzą Trzeciego Świata.

- Chodź - zachęcał ją chłopak, nadal się śmiejąc, to tylko kawałek stąd. Za parę minut będziesz mogła wracać.

Sara ruszyła za nim z ociąganiem. Szedł wzdłuż morza, dopóki nie dotarł do wału ułożonego z wielkich kamieni, wznoszącego się na kilkanaście metrów w zatokę. Dotarł do połowy wału, zatrzymał się i dał jej znak ręką, żeby podeszła.

Zdezorientowana dziewczyna przez chwilę się wahała, ale w końcu ciekawość przezwyciężyła niepewność. Weszła na wał, zbliżyła się do chłopaka i w napięciu czekała, co się będzie działo.

Chłopak usiadł na kamieniach i spoglądając w dół, zawołał:

- Freddy!

Sara, która starała się patrzeć tam gdzie on, w pierwszej chwili zauważyła tylko ledwie dostrzegalny ruch i nic więcej.

- Zawsze przychodzę tu sam. - Tym razem chłopak nie zwracał się do swojego tajemniczego przyjaciela, lecz do niej. - Freddy pewnie wyczuł, że coś jest inaczej niż zwykle, i się przestraszył, ale zaraz się przekona, że jesteś w porządku. - Sięgnął do wiadra i wyjął wielki, dość obrzydliwie wyglądający kawałek ryby. Nie wypuszczając go z dłoni, zanurzył w wodzie.

Sara, która z zapartym tchem śledziła jego poczynania, zobaczyła, że ze szczeliny między kamieniami w wale, jakieś pół metra pod powierzchnią, wyskakuje długi obły stwór, przypominający ogromnego węża, o średnicy co najmniej takiej jak jej ręka powyżej łokcia, rozwiera paszczę, chwytą rybi ochłap i w tej samej sekundzie znika w szczelinie między kamieniami.

Przerażona, odskoczyła do tyłu i niewiele brakowało, a wpadłaby do wody. Zatrzymała się zaledwie kilkanaście centymetrów od krawędzi wału.

- O, Boże, co to było? - szepnęła, kiedy wreszcie odzyskała głos. - Wyglądało jak boa dusiciel.

Chłopak roześmiał się.

- Nie, to tylko Freddy - odparł, wkładając do wody następny kawałek ryby.

Tym razem Sara, przygotowana na to, co zobaczy, mogła się przyjrzeć stworowi dokładniej. Zauważyła, że bardziej niż węża dusiciela przypomina ogromnego zielonego węgorza, i już nie wydał jej się aż tak przerażający.

Zafascynowana, patrzyła, jak jej nowy znajomy podaje Freddy'emu trzecią, czwartą i piątą porcję kolacji, a kiedy sięgnął do wiadra po szóstą, zapytała:

- Ja też mogę?

- Pewnie - powiedział. - Tylko może przynajmniej za pierwszym razem nie wsadzaj ręki do wody.

Sara, która cały czas miała przed oczami wielką rozwartą paszczę, wcale nie miała takiego zamiaru. Zatrzymała dłoń kilkanaście centymetrów nad powierzchnią i upuściła kawałek rybiego flaka. Nie potrafiła potem powiedzieć, czy Freddy chwycił go w chwili, gdy zanurzył się w wodzie, czy ułamek sekundy wcześniej.

Potem karmili go na zmianę. Sara za każdym razem opuszczała dłoń coraz niżej, ale nie odważyła się wsadzić ręki do wody, zwłaszcza po tym, jak jej towarzysz przestrzegł ją, co się może wydarzyć.

- Mureny raczej same nie atakują, ale kiedy poczują się zagrożone, idą całego. Znam człowieka na Saint Lucia, który w ten sposób stracił dłoń.

Kiedy wiadro zostało puste, chłopak podniósł się i powiedział:

- No, na mnie już czas, a ty chyba też powinnaś wracać. Doszli razem do pawilonu, w którym mieściło się hotelowe centrum nurkowania, i tam się pożegnali.

- Aha, jeszcze coś - rzucił chłopak na koniec. - Tu, na Martynice, nikt nie cierpi głodu.

Spojrzała na niego zdumiona, nie mając pojęcia, o co mu chodzi, dopiero po chwili przypomniała sobie, co przyszło jej do głowy, gdy zobaczyła zawartość wiadra.

- Przecież nie powiedziałam o tym ani słowa.

- Ale pomyślałaś.

Nawet nie próbowała zaprzeczać; jej nowy znajomy był zbyt bystry, by w to uwierzyć.

- To prawda - przyznała. - I bardzo się cieszę, że się myliłam. - A właśnie, jestem Sara.

- A ja...

- Już wiem... Derek. - Uśmiechnęła się, wskazując plakietkę na uniformie chłopaka, na której było wypisane jego imię. - I dziękuję ci, że poznałeś mnie ze swoim przyjacielem.

ROZDZIAŁ 4

Nie spieszyło jej się. Była dopiero dziesiąta; od czasu, kiedy rodzice wyszli na kolację, minęła godzina i wiedziała, że pewnie minie kolejna, zanim wrócą do bungalowu. W altanie na końcu mola znowu byli jacyś ludzie - tym razem kilkoro - postanowiła więc wybrać się tam kiedy indziej. Zeszła z plaży i poszła jedną z licznych alejek, biegnących prostopadle do brzegu morza. Mijała rozrzucone rzadko bungalowy, pięknie wkomponowane w zielone otoczenie. Im dalej odchodziła od plaży, tym bardziej zanikał szum fal, a wzrastała kakaфонia innych, zupełnie jej nieznanymi dźwięków, jakby orkiestra składająca się z tysięcy egzotycznych stworzeń właśnie dawała koncert.

Zboczyła z asfaltowej dróżki i stąpając po miękkiej wilgotnej trawie, kluczyła wśród drzew. Między niektórymi z nich rozwieszono hamaki. Nigdy jeszcze nie leżała w czymś takim i nie mogła się powstrzymać przed wypróbowaniem, jak to jest.

Nie było przyjemne, przynajmniej za pierwszym podejściem. I za drugim również. Dwukrotnie, zamiast w hamaku, z hukiem wylądowała na trawie po jego drugiej stronie. Za trzecim razem udało jej się, ale kiedy już leżała z kręgosłupem wygiętym w przedziwnej pozycji, najpierw uznała, że nawet gdyby nie spała przez tydzień, nie zasnęłaby ze sznurami boleśnie wpijającymi się w ciało, potem nie była już tego taka pewna, a jeszcze potem w najlepsze spała.

Gdyby nagle coś nie huknęło o ziemię nie dalej niż metr od jej głowy, pewnie spałaby do rana, a rodzice postawiliby na nogi wszystkich pracowników hotelu, całą policję Martyniki, a niewykluczone, że również amerykańskie służby specjalne. Sara wiedziała, że jedna z agencji - nigdy nie mogła zapamiętać która, FBI czy CIA - nie ma prawa działać poza granicami Stanów Zjednoczonych, ale znając ojca, nie wykluczała, że skłoniłby do działania obie.

Kiedy podnosiła z ziemi orzech kokosowy, który spadł z palmy, budząc ją z głębokiego snu, nie wiedziała jeszcze, że weźmie go ze sobą do kraju, postawi w honorowym miejscu i będzie wszystkim opowiadać, że ten zwyczajnie wyglądający kokos zapobiegł incydentowi o międzynarodowym zasięgu.

Ale zanim go podniosła, nabiła sobie solidnego guza, bo kiedy przebudziła się i przecierając oczy, spojrzała na zegarek, zobaczyła, że dochodzi dwunasta. Zerwała się na równe nogi; ściślej mówiąc, chciała się zerwać, lecz zapomniała, że leży w hamaku, i wylądowała na ziemi.

Przez następny tydzień cieszyła się, że kilka dni przed wyjazdem postanowiła zmienić fryzurę i zdecydowała się na grzywkę, bo guz na jej czole był wielkości przepiórczego jaja.

Ściskając w ręce orzech kokosowy, doszła do asfaltowej dróżki i zatrzymała się, żeby się zastanowić, czy iść w prawo, czy w lewo. Po chwili przypomniała sobie, że przyszła z lewej. Gdyby skierowała się w tę stronę, dotarłaby do plaży, a ich bungalow był ładny kawałek od morza. Ruszyła więc w prawo.

Najpierw szła szybkim krokiem, a potem zaczęła biec. Minąwszy kilka zabudowań, których z całą pewnością nie widziała, kiedy pracownik recepcji prowadził ją i rodziców do bungalowu, pomyślała, że idzie w złą stronę, ale dopiero gdy dotarła do wysokiego parkanu, nabrała co do tego pewności.

Zatrzymała się na chwilę. Z trudem już oddychała, zmusiła się jednak do logicznego myślenia. Wyjście było tylko jedno: wrócić z powrotem do morza i odnaleźć tę alejkę, którą dotarła na plażę.

Kilka minut później stanęła na piasku i popatrzyła na molo. Widać je było tylko dzięki pełni księżyca, bo światła wzdłuż niego i na altanie już pogaszono. Popatrzyła na zegarek i ze zgrozą stwierdziła, że minęła północ. Zdjęła sandały i brnąc w wilgotnym piasku, ruszyła w stronę mola. Pamiętała, że dróżka prowadząca z ich bungalowu dochodziła na plażę dokładnie na wprost niego. Zorientowała się wreszcie, że zna drogę, co wcale nie oznaczało, że była spokojna. Serce waliło jej w piersi, i to nie z powodu biegu.

Sara była naprawdę przerażona tym, co powiedzą rodzice.

Wcale nie zdziwiło jej, że zastała ich na werandzie w towarzystwie dwóch mężczyzn w uniformach ochroniarzy i jednego w normalnym ubraniu. Potem dowiedziała się, że był to menedżer hotelu.

„Tu jestem!” - chciała zawołać, lec? w ustach tak jej zaschło, że to, co wyrwało się z jej gardła, bardziej przypominało żabi skrzek niż jakikolwiek artykułowany ludzki dźwięk. Widziała odwróconego plecami ojca, który nerwowo gestykulując, perswadował coś mężczyznom, i matkę stojącą z opuszczonymi ramionami.

Właśnie na widok tych jej opuszczonych ramion zmusiła się do nadludzkiego wysiłku i zawołała:

- Jestem! I nic mi się nie stało!

Mama wybiegła jej naprzeciw, zarzuciła ramiona na szyję i długo jej nie wypuszczała.

Sara, przytulona do matki tak mocno, że ledwie mogła oddychać, była świadoma, że na tym się jej nocna eskapada nie skończy. Teraz był czas na ulgę, ale z całą pewnością przyjdzie jeszcze czas na złość. I, szczerze mówiąc, wołałaby już ten drugi - mniej przyjemny

- etap mieć za sobą. A że zbliża się on wielkimi krokami, domyśliła się, kiedy mama wypuściła ją z objęć, cofnęła się o dwa kroki i zmierzyła ją wzrokiem.

- Gdzie ty byłaś, na miłość boską?

- Poszłam się przejść, położyłam się w hamaku i za snęłam. Obudziłam się dopiero, kiedy ten kokos spadł z hukiem na ziemię. - Wyciągnęła przed siebie brązowy, pokryty mocnymi włóknami orzech jako dowód tego, że mówi prawdę.

Matka patrzyła na córkę tak, jakby ta postradała zmysły.

Tymczasem ojciec i trzech mężczyźni zeszli z tarasu i podeszli do nich.

- Mówiłem pani, *madame*, że na terenie naszego hotelu państwa córka jest zupełnie bezpieczna - odezwał się ten, który wyglądał na menedżera.

- Ale napędziłaś nam stracha - powiedział tata, poklepując ją po ramieniu.

- Nie chciałam - bąknęła Sara ze skruchą w głosie.

- Przepraszamy panów za całe to zamieszanie - zwrócił się ojciec do mężczyzny w jasnym lnianym ubraniu i tych w mundurach hotelowej ochrony. - Nasza córka najwyraźniej postanowiła rozejrzeć się po okolicy, a my niepotrzebnie wszczęliśmy alarm.

- Żaden problem - rzucił uprzejmie mężczyzna w cywilu. - I tak jak mówiłem, dopóki państwa córka nie opuści terenu hotelu, nie może się jej stać żadna krzywda.

Wcale nie jestem tego taka pewna, pomyślała Sara, dotykając guza na czole, ale nie powiedziała o tym ani słowa. To nie była odpowiednia chwila na żarty; groźna mina matki wskazywała na to dobitnie.

Człowiek w jasnym ubraniu jeszcze raz zapewnił, że hotel Coco Beach jest najbezpieczniejszym miejscem wypoczynku na całej Martynice, po czym on i dwaj pozostali pożegnali się i odeszli, a Sara została na łasce i niełasce rodziców. Głównie niełasce. I głównie mamy, bo ojciec, kiedy tylko trzech mężczyźni oddalili się, ziewnął i zaproponował:

- Chodźmy spać, porozmawiamy o wszystkim jutro. Sara zerknęła na niego z wdzięcznością.

- O nie - powiedziała matka, kiedy weszli do bungalowu, - Nie będziemy tego odkładać. Załatwimy to dzisiaj.

Coś było nie tak w głosie matki. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie co. Mama nie piszczala ani nie krzyczała, mówiła spokojnie; i właśnie ten spokój tak bardzo Sarę zaniepokoił.

- Nie możemy tego odłożyć do jutra? - spytał ojciec. - Padam z nóg.

- Nie - oświadczyła matka, równie spokojnym tonem jak poprzednio i tak zdecydowanym, że zarówno on, jak i Sara poddali się bez słowa i usiedli na fotelach w salonie.

Mama zajęła miejsce na kanapie naprzeciwko nich i długo się nie odzywała.

Sara zdawała sobie sprawę, że rodzice musieli najeść się strachu, ale uznała, że mama trochę przesadza, robiąc z tego taką aferę. Przecież wszystko dobrze się skończyło. W końcu nie była pięcioletnim dzieckiem, które musi prosić o pozwolenie, żeby wyjść na dwór i pochodzić.

- Powiedziałam już, że przepraszam. Przykro mi, że się o mnie martwiliście, ale wydaje mi się, że zwracanie się od razu po pomoc do hotelowej ochrony było chyba lekką przesadą.

- Przesadą! - prychnęła matka. - Wracamy o północy do bungalowu, a tu, proszę, łóżko naszej córki, która była tak zmęczona, że nie była w stanie posiedzieć z nami chwilę przy kolacji, jest puste. Przesada! Dobrze sobie.

- Odechciało mi się spać i wyszłam, żeby się przejść. Co w tym złego?

- Nic, poza tym, że jakoś w to nie wierzę, że nagle odechciało ci się spać, a ściślej mówiąc, nie wierzę, że w ogóle chciało ci się spać.

Sara zamierzała zaprotestować, lecz matka nie dała jej dojść do głosu.

- Od miesiąca - ciągnęła powoli - ja i tata znosimy twoje fochy. Zachowywałaś się tak, jakbyś robiła nam wielką łaskę, że spędzisz z nami te ferie. Kilka razy doprowadziłaś mnie już do granic cierpliwości. Choćby te twoje dzisiejsze uśmiechy na lotnisku, kiedy się okazało, że nie zdążymy na samolot. Ja i tata znosiliśmy to spokojnie, licząc na to, że kiedy dolecimy na miejsce i zobaczysz, jak tu jest, zaczniesz się zachowywać normalnie. Najwyraźniej myliliśmy się jednak. Dickinsonom było chyba dosyć przykro, że nie przyszłaś na kolację. Bob...

W Sarę, która dotychczas potulnie słuchała wyrzutów matki, nagle, na dźwięk tego imienia, wstąpiła złość.

- Mamo, ja nie byłam głodna - rzuciła poirytowanym głosem.

- Właśnie to chciałam powiedzieć. Bob też nie był głodny. On i jego rodzice doszli do wniosku, że już dzisiaj nie przylecimy, i zjedli kolację wcześniej. Mimo to po stanowili nam towarzyszyć - oznajmiła, po czym dodała z naciskiem: - Bob również.

- Bob, Bob! - zawołała Sara. - Mam już dosyć słuchania o tym, jaki to on jest inteligentny, miły i dobrze wychowany. - Kiedy Dickinsonowie miesiąc temu przeprowadzili

się do Nowego Jorku, rodzice wybrali się do nich z wizytą, a potem rozplywali się w zachwytach nad ich synem. Im bardziej go chwalili, tym bardziej go nie cierpiała.

- Bo on, w przeciwieństwie do ciebie, jest dobrze wychowany - rzekła matka. - W każdym razie na tyle, żeby nie wykręcać się jakimiś pretekstami przed spotkaniem przyjaciół rodziców. I zupełnie nie rozumiem tej agresji w twoim głosie, kiedy o nim mówisz.

- Może gdyby ciebie zmuszano do spędzenia ferii z chłopakiem, którego nie cierpisz...

- Sara przestała już panować nad złością. - Z jakimś wstrętnym... - Chciała powiedzieć „grubym”, ale ugryzła się w język, wiedziała bowiem, co mama myśli o ocenianiu ludzi na podstawie ich wyglądu zewnętrznego. - Może wtedy byś zrozumiała.

- Nikt cię do tego nie zmusza.

- Nie? Chciałam zostać na święta w Nowym Jorku, u cioci, ale nie pozwoliliście mi na to! - zawołała, nie czując się całkiem w porządku, bo przecież od kilku godzin cieszyła się, że przyleciała na Martynikę.

W bungalowie zapanowała cisza, dopiero po dłuższej chwili mama odezwała się bardzo spokojnym głosem:

- Być może był to błąd z naszej strony. Ale trudno, stało się i musimy ustalić, jak to naprawić. Ja i tata ciężko pracujemy. Od miesiący czekaliśmy na ten urlop i nie damy go sobie zepsuć przez twoje fochy.

Sara słuchała z opuszczoną głową, zastanawiając się, do czego matka zmierza. Po plecach przeszły jej ciarki, kiedy przemknęło jej przez głowę, że rodzice odeślą ją do Stanów Zjednoczonych. Mama miała jednak inną propozycję.

- Nie masz ochoty na spędzanie tych ferii z nami, z Dickinsonami i z Bobem. W porządku, ja to akceptuję. Spędzaj je sama.

- Jak to sama? - spytała zaskoczona Sara.

- Zwyczajnie. Masz swój pokój, w którym nikt nie będzie ci przeszkadzał. Śniadania, obiady, kolacje podają tu w trzech restauracjach, nie musimy sobie wchodzić w drogę. Zakładam, że menedżer wiedział, co mówi, kiedy zapewniał nas, że na terenie hotelu jesteś absolutnie bezpieczna. Chciałabym tylko, żebyś informowała nas, dokąd idziesz i kiedy wrócisz. Oczywiście, jeśli będziesz miała ochotę wybrać się gdzieś z nami, nie będziemy mieli nic przeciwko temu. Ale pamiętaj, nikt do niczego nie będzie cię zmuszał.

Matka spojrzała na nią pytająco, lecz ona nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- J co ty na to?

Sara nie bardzo sobie wyobrażała, jak te zasady dadzą się realizować w praktyce, ale wzruszyła ramionami i odparła:

W porządku.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy nazajutrz wstała, rodzice jeszcze spali. Myjąc zęby i biorąc prysznic, rozważała, na ile na serio powinna traktować propozycję mamy. Ze zdumieniem stwierdziła, że wolność, którą dawały jej wprowadzone przez nią zasady, wcale nie cieszyła jej aż tak, jak mogła się tego spodziewać.

Zwlekała z wyjściem z bungalowu, zastanawiając się, czy nie poczekać jednak, aż rodzice wstaną, i nie pójść na śniadanie z nimi. Przez kilkanaście minut przeglądała hotelowy informator i studiowała załączoną mapkę, na której były oznaczone wszystkie ważne miejsca: recepcja, restauracje, bary, korty tenisowe, pole golfowe, wypożyczalnia rowerów, centrum nurkowania i innych sportów wodnych, siłownia. Nie mogła się zdecydować, co będzie robić po śniadaniu - i to kusilo, i tamto. W końcu, kiedy zaczęło jej z głodu burczeć w brzuchu, uchyliła cicho drzwi ich sypialni i zajrzała do środka. Spali w najlepsze.

Wyrwała z hotelowej papeterii kartkę i napisała: „Idę na śniadanie”.

Kiedy wyszła na taras, była dopiero ósma, a na zewnątrz panował upał jak w środku dnia. Zanim opuściła bungalow, zawahała się. Zdarzyło jej się, że urzekały ją miejsca, które po raz pierwszy widziała nocą, a potem, w pełnym blasku dnia, wychodziła na jaw ich obskurność czy brzydota i traciły cały powab. Ale kiedy stanęła na tarasie i rozejrzała się, nie mogła uwierzyć własnym oczom i uzmysłowiła sobie, że teraz, jeśli kiedykolwiek usłyszy słowo „raj”, zawsze będzie jej się kojarzyć z Martyniką. Tak, raj musiał wyglądać dokładnie tak... Co za idiotka z tej Ewy! Gdyby to ona była na jej miejscu, nie zrobiłaby nic, co mogłoby ją narazić na wygnanie z takiego miejsca, a już na pewno nie namawiałaby tego debila Adama do zjedzenia jakiegoś jabłka. Które jeszcze na dodatek musiało być pewnie kwaśne.

Ruszyła asfaltową alejką, tą samą, którą poprzedniego dnia prowadził ich pracownik recepcji. Po pokonaniu kilkudziesięciu metrów uznała, że jeśli będzie się zatrzymywać przy każdym krzaku i drzewku, zdąży w samą porę na kolację, pod warunkiem że wcześniej nie padnie z głodu.

Tylko jak tu nie stanąć przy krzewie hibiskusa, obsypanego ciemnoróżowymi, jaskrawymi kwiatami w kształcie kielicha, z którego środka wystrzelały długie na co najmniej dziesięć centymetrów słupki? Nektar jednego z takich kwiatów najwyraźniej zasmakował pięknie ubarwionemu kolibrowi, tak małemu, że Sara w pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, że to ptak, a nie jakiś egzotyczny owad. Trzepocząc niewielkimi proporcjonalnie do reszty

swojego drobnego ciała skrzydełkami, sięgał długim dzióbkiem do pręcika kwiatu hibiskusa, a obecność dziewczyny, która zbliżyła się tak, że mogłaby go dotknąć, zupełnie nie przeszkadzała mu w posiłku.

Jaszczurki, nieco większe niż te biegające po ścianach jej pokoju, wygrzewały się na słońcu i czmychały tylko wtedy, gdy Sara, zapatrzona w jakiś okaz flory, przez nieuwagę mogłaby je rozdeptać.

Od ich bungalowu do jednej z trzech restauracji, w których podawano śniadania, tej przy basenie, było nie więcej niż trzysta metrów, pokonanie tego dystansu zajęło jej jednak prawie pół godziny, a po drodze w ogóle zapomniała o swoim pustym brzuchu. Gdzieś słyszała, że w raju nie czuło się głodu. Zawsze uważała, że to bzdura; dziś była w stanie w to uwierzyć.

Wystarczyło jednak, że zobaczyła bufet śniadaniowy, a ciało gwałtownie przypomniało jej, że wciąż istnieje, nawet w raju. Jeden z kelnerów zapytał tylko o numer bungalowu, zapisał go na swojej liście i powiedział, że może sobie wybrać stolik i że cały bufet jest do jej dyspozycji.

Kiedy gapiała się na zastawiony dziesiątkami smakowicie pachnących potraw stół, już po raz drugi tego dnia przyszło jej do głowy, że być może wolność wyboru jest pojęciem nieco przereklamowanym. Poza kilkoma potrawami, które potrafiła zidentyfikować - jak jajecznica, jajka sadzone, francuskie tosty, naleśniki, mleko, jogurt, płatki śniadaniowe, sery czy szynka - były takie, których składu i smaku mogła się tylko domyślać, ale przy większości nie miała nawet pojęcia, czy są słone, czy słodkie.

Gdyby była z nią mama, coś by jej doradziła, ale Sara nie mogła narzekać; miała to, co jeszcze wczoraj rano, kiedy wylatywała z Nowego Jorku, wydawało jej się zupełnie niemożliwe. Mogła spędzać ferie, jak chciała i - co ważniejsze - z kim chciała.

A to, że będzie je spędzać sama, chyba jej nie groziło. Kiedy nałożyła sobie pełny talerz - przy wyborze postanowiła w końcu kierować się wyłącznie wyglądem potraw - i idąc w stronę rozstawionych na świeżym powietrzu stolików, zerknęła na basen, zobaczyła na jego brzegu grupę młodych ludzi, mniej więcej jej rówieśników. Nie tylko ona ich dostrzegła. Jeden z chłopców z daleka przesłał jej uśmiech, powiedział coś do swego towarzysza, po czym obaj zaczęli do niej machać, dając znaki, żeby się do nich przyłączyła.

Pokręciła głową i uniosła talerz, by pokazać im, że jeszcze nie jadła śniadania. Chłopcy rozłożyli ręce i jeden z nich coś zawołał, nie słyszała jednak co; nie była nawet pewna, w jakim języku.

Pomyślała, że w ciągu najbliższych dni z pewnością trafią jej się okazje, by poznać różnych ludzi, i zadowolona, że nie grozi jej samotność, usiadła przy stoliku w cieniu drzewa kształtem przypominającego afrykańskie akacje. Wyglądało tak, jakby ktoś ściał jego wierzchołek, tak że tworzył płaską jak stół powierzchnię. Ale to nie jego kształt przyciągał najbardziej uwagę. Drzewo tonęło w kwiatach o czerwonej barwie, tak intensywnej, że Sarze przyszło do głowy tylko jedno określenie tego koloru:

ognisty. Kilka dni później usłyszała od kogoś, że to drzewo właśnie tak jest tu nazywane - ogniste.

Trochę dziwnie się czuła, siedząc sama. Pierwszy raz w życiu jadła sama posiłek w hotelowej restauracji. Powinna czuć się dorośle, ale nic podobnego. Przyszło jej do głowy, że musi raczej wyglądać jak dzieciak, który bawi się w bycie dorosłym, i nagle zapragnęła, żeby pojawili się rodzice. Przez chwilę wpatrywała się w asfaltową dróżkę, którą tu przyszła, z nadzieją, że ich zobaczy. Po chwili dopiero uświadomiła sobie, że to zupełnie niemożliwe. Mamie poranna toaleta zajmowała zawsze prawie godzinę, więc nawet gdyby wstali zaraz po wyjściu Sary, i tak nie mogłaby się ich spodziewać wcześniej niż za pół godziny. Zakładając, oczywiście, że zdecydowałiby się na restaurację przy basenie, a nie na którąś z dwóch pozostałych.

Zabrała się więc za jedzenie i już po chwili nie była sama. Nawet nie zauważyła, kiedy na jej stoliku usiadł mały czerwono - żółty ptaszek, który wyraźnie liczył na jakiś poczęstunek. Odłamała kawałek chleba, pokruszyła go i rozsypała na stole. W tym momencie, nie wiadomo skąd, zleciało się kilka innych, tak samo ubarwionych ptaków i nie mogła już nadażyć z kruszeniem chleba.

- Hej! - zawołała ze śmiechem, widząc, że z dwóch kromek został jej już tylko mały kawałek. - Ja też bym chciała coś zjeść. - Do jej czerwono - żółtych współbiedniaków najwyraźniej to nie dotarło, bo ani myśleli opuszczać jej stolika. - Wiem, pewnie nie rozumiecie po angielsku. Następnym razem, jak tu przyjadę, będę już mówić po francusku - obiecała im i sobie, po czym musiała odsunąć jednego natręta, który zrobił się tak bezczelny, że nie czekając na okruszki, zaczął sięgać dzióbkiem do jej talerza.

Gdy skończyła, nie wstała od razu od stołu. Podniosła się dopiero kiedy jej skrzydlaci mali towarzysze zorientowali się, że już nic więcej im się nie dostanie, i odlecieli, znikając w górze, między konarami ognistego drzewa.

Zastanawiała się przez chwilę, co robić, w końcu zdecydowała, że pójdzie na plażę trochę się poopalać, a przy okazji wstąpi do centrum nurkowania i dowie się czegoś o wyprawach na rafę. Najpierw jednak musiała poinformować o swoich planach rodziców.

Kiedy otworzyła drzwi bungalowu, wewnątrz panowała cisza. Mają zamiar cały dzień przespać? – pomyślała i zapukała do ich sypialni. Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, więc uchyliła drzwi. Ze zdumieniem stwierdziła, że wielkie dwuosobowe łóżko jest puste.

- Tak sobie po prostu wyszli - powiedziała do siebie i zrobiło jej się trochę przykro.

Wróciła do salonu i podeszła do stolika, na którym zostawiła dla nich kartkę. Miała nadzieję, że ją przeczytali. Nagle przyszła jej do głowy niepokojąca myśl. Matka, kiedy Sara czasem narozrabiała, wymyślała różne rzeczy, z których potem, kiedy się udobruchała, wycofywała się. Może ta jej wczorajsza propozycja również była czymś takim. Może dzisiaj mama już o wszystkim zapomniała i będzie miała do niej pretensję albo - jeszcze gorzej - znów postawią na nogi menedżera i hotelową ochronę.

Ale mama niczego nie zapomniała, a wiadomość od niej przeczytała, co więcej pod spodem dopisała: „Idziemy na śniadanie do restauracji przy plaży, potem na pole golfowe. Baw się dobrze”.

Sara wpatrywała się w kartkę, nie wiedząc, co o tym myśleć. W końcu doszła do wniosku, że rodzice chcą jej coś udowodnić. Nie wiedziała dokładnie co, ale czuła, że próbują jej coś pokazać. A jeśli tak, to ona też im pokaże.

Zmieniła plany. Uznała, że jeżeli teraz wybierze się na plażę, to może się na nich natknąć, a wołała tego unikać.

Wzięła długopis i pod dopiskiem mamy napisała: „Idę pojeździć na rowerze, a potem poopalam się trochę na plaży”.

ROZDZIAŁ 6

Od ponad dwóch godzin jeździła asfaltowymi drózkami, gęsto przecinającymi pofałdowany teren hotelu. Zbliżało się południe, słońce grzało niemiłosiernie; pora nie była może najszczęśliwsza na rowerowe przejażdżki, które byłyby pewnie przyjemniejsze o wczesnych godzinach rannych albo wieczorem, ale Sara wciąż odkrywała nowe miejsca i nie spieszyła się z oddawaniem roweru do wypożyczalni.

Zawsze wołała opalanie się w ruchu niż leżenie plackiem na słońcu. Nie znosiła tego ciągłego patrzenia na zegarek i zastanawiania się, czy przypadkiem nie leży za długo na brzuchu i czy nie spali sobie pleców, podczas gdy przód wciąż będzie biały.

Zgodnie z regulaminem, który przeczytała rano, goście mogli się poruszać po terenie całego hotelu, wyjąwszy restauracje, w strojach plażowych, miała więc na sobie tylko kostium kąpielowy.

Zdjęła nogę z pedału, bo alejka, w którą właśnie wjechała, prowadziła lekko w dół, i zastanawiała się, czy po dwóch godzinach na słońcu nie byłoby rozsądnie zarzucić na plecy T-shirt, który przymocowała z tyłu na bagażniku, kiedy nagle jej dylemat rozwiązał się sam. Słońce po prostu znikło. Gdyby wcześniej przeczytała jeden z przewodników, które podsuwali jej rodzice, wiedziałyby, że burze na Karaibach nadchodzą nagle, lazurowe dotąd niebo robi się w ciągu kilkunastu sekund ołowiano szare, niczym niezmacone powietrze zaczyna szaleć, a z nieba w ciągu kilku minut spadają hektolitry wody. Ale Sara, zamiast zajrzeć do przewodników, stroiła - jak to określiła jej mama - fochy, i teraz przemknęło jej przez głowę, że ta wyspa wcale nie jest rajem, lecz miejscem, w którym miała przeżyć koniec świata.

I wtedy pomyślała, że chce być jak najszybciej przy rodzicach. Zaczęła pedałowac tak prędko, jak mogła. Nie przewidziała, że asfalt po deszczu robi się śliski, a w strugach deszczu zalewających jej twarz nie zauważyła, że kilka metrów przed nią lekka stromizna nagle się zaostrza.

Przestała panować nad rowerem, hamulec za pierwszym razem nie zadziałał. Nie próbowała naciskać go po raz drugi. Instynktownie zeskoczyła z siodełka i wbiła się stopami w drózkę, tak mocno, że miała wrażenie, iż ugina się pod nią asfalt. W tym samym momencie usłyszała plaśnięcie, zagłuszające szum wiatru i odgłosy ulewy. Nie więcej niż kilkanaście centymetrów od przedniego koła na czarnym lśniąco asfalcie coś się roztrzaskało. Nie miała

pojęcia, co to jest, wiedziała tylko, że jest białe i ma dziwny, mdły i zupełnie jej nieznaną smak, bo kiedy odrobina tego czegoś wyładowała nad jej górną wargą, odruchowo ją zlizwała.

Zanim zdążyła się zastanowić, co to takiego, ktoś chwycił ją za ramiona. Próbowала się opierać, ale ten ktoś był zdecydowanie silniejszy i odciągnął ją kilka metrów w bok.

Sara niewiele widziała przez strugi deszczu, ale kiedy była już w stanie myśleć, zobaczyła koło siebie chłopaka, a na dróżce swój rower i jeszcze drugi. Musiał jechać za nią. Nic dziwnego, że go nie słyszała, bo kiedy teraz krzyknął coś do niej, nie zrozumiała ani słowa i wzruszyła ramionami.

- Mówiłem, że miałaś szczęście! - zawołał. Tym razem udało mu się przekrzyczeć odgłosy wichury. Właśnie zdążył to powiedzieć, gdy na asfalt, nie dalej niż pół metra od rozbryzganej masy, znowu coś spadło, wznecając białą - zieloną fontannę.

Sara spojrzała w górę i zobaczyła rozłożyste drzewo o wielkich rozczapierzonych niczym rozłożona dłoń liściach i zielonych owocach większych od dużego grejpfruta i mniejszych od małej dyni.

Przerażoną, cofnęła się i spojrzała nad głowę, ale stali pod niewielkim rachitycznym drzewkiem, które nie rodziło żadnych ładunków wybuchowych. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego nieznajomy pociągnął ją tak gwałtownie.

- Dzięki! - zawołała.

Bardziej rozpoznała po ruchu jego ust, niż usłyszała, że mówi:

- Nie ma za co.

Zanim zdążyła się otrząsnąć po tym, co się stało, powietrze uspokoiło się, deszcz ustał i zaświeciło słońce.

Sara znów była w raju. I tak, jakby ktoś chciał ją upewnić, że to naprawdę jest raj, zobaczyła zupełnie cudowne rzeczy. Z wielkiego skalnego głazu, nieopodal którego stali, w tym samym momencie, kiedy zaświeciło słońce, zaczęły się unosić kłęby pary, a jego błyszcząca, prawie czarna nawierzchnia w ciągu zaledwie kilkunastu sekund zamieniła się w suchą jasnoszarą. Dopiero kiedy stojący koło niej chłopak powiedział: „Popatrz tam”, oderwała wzrok od tego niesamowitego zjawiska i spojrzała we wskazanym przez niego kierunku. Na wprost niej była tęcza - najwspanialsza, jaką w życiu widziała - a za nią ukazała się druga, i trzecia.

Sara patrzyła na te cuda z zapartym tchem.

- Niesamowite - wyszeptała, kiedy oprzytomniała na tyle, że była w stanie wydobyć z siebie głos.

Chłopak nie odpowiedział.

Przyszło jej do głowy, że zachowuje się jak dzieciak po raz pierwszy w życiu zaprowadzony do zoo, i zrobiło jej się trochę głupio, ale kiedy zerknęła na niego, uznała, że nie ma czego się wstydzić - on również patrzył urzeczony na tęczowy tunel.

- Widziałas kiedyś coś takiego? - spytał. Pokręciła głową.

Potem stali milczeniu dopóty, dopóki tęcza, najpierw jedna - ta najdalsza, o barwach najbardziej rozmazanych - potem druga i wreszcie trzecia - najbliższa, największa i najpiękniejsza - nie znikły. Wtedy niemal jednocześnie, wciąż bez słowa, odwrócili w kierunku mniej rajskiego widoku dwóch niezbyt estetycznych plam brei na asfalcie.

- Co to jest? - zapytała Sara i nagle z odrazą przypomniała sobie, że zlizala to paskudztwo znad wargi.

- Owoce drzewa chlebowego - odparł chłopak. Nazwa brzmiała dość niewinnie, mimo to skrzywiła się.

- To nie jest przypadkiem trujące?

- Nie, coś ty! Robią z tego surówki i inne potrawy. Nawet całkiem dobre.

Kiedy dwie godziny później rozstawali się przed wypożyczalnią rowerów, Sara miała wrażenie, że zna Roberta od lat. Idąc wolnym krokiem w stronę swojego bungalowu, zastanawiała się, jak to jest możliwe, że chłopakowi, którego ledwie co poznała, zdradziła aż tyle o sobie. To nie było w jej stylu. Nie zwierzała się każdemu, a jemu zdążyła opowiedzieć o swojej nowojorskiej szkole, o tym, że nie chciała spędzać tutaj wakacji, głównie z powodu syna przyjaciółki jej mamy, wstrętnego grubego Boba, który kiedyś zepsuł jej szóste urodziny. Oczywiście dodała, że teraz uważa tę wyspę za najpiękniejsze miejsce na świecie i wcale nie żałuje, że się tutaj znalazła. Przemilczała tylko to, że drugim - poza Bobem - powodem, dla którego nie pałała optymizmem do przyjazdu tutaj, była sylwestrowa impreza, na której miał się pojawić chłopak jej marzeń. I nie pominęła tego celowo, po prostu o tym zapomniała. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że od chwili, gdy przyleciała na Martynikę, ani razu nie pomyślała o Rossie.

Podczas gdy ona opowiedziała swojemu znajomemu mnóstwo rzeczy o sobie, o nim nie dowiedziała się prawie nic.

Nic straconego, pomyślała, otwierając drzwi bungalowu. Umówiła się z nim za dziesięć czwarta przed centrum nurkowania. Mieli razem popłynąć hotelową motorówką na pobliską rafę, tę, o której wspomniał jej wczoraj Derek.

- Jesteście?! - zawołała radosnym głosem, wchodząc do środka, ale nikt jej nie odpowiedział. - Chyba trochę przesadzają - rzuciła z rozczarowaniem. Taką miała ochotę

podzielić się z nimi wrażeniami, opowiedzieć o sympatycznym chłopaku Amerykaninie, którego poznała.

Tym razem nie pofatygowała się nawet, żeby sprawdzić w sypialni. Od razu podeszła do stolika w salonie i popatrzyła na kartkę.

Pod skreślonymi przez nią słowami tata napisał: „Jesteśmy na obiedzie w restauracji przy recepcji, potem wrócimy, żeby przespać się godzinę, a później idziemy pograć w tenisa”.

Mogli na mnie poczekać, pomyślała ze złością i zappełniła swoim pismem niewielki wolny jeszcze kawałek na dole kartki: „Idę na obiad do restauracji przy plaży - przez chwilę wahała się, czy nie dołączyć do nich, ale zrezygnowała z tego pomysłu - a o czwartej wybieram się hotelową motorówką na rafę. Będę z powrotem koło szóstej”. Uznała, że i tak jest bardziej w porządku wobec nich niż oni wobec niej; ona przynajmniej poinformowała ich, o której wróci.

Niewielką restaurację przy plaży urządzono w prymitywnym karaibskim stylu. Pod okrągłym krytym liśćmi bananowca dachem na środku stał bufet, a wokół niego rozstawiono niskie duże stoły, przy których siadało się na prostych drewnianych balach. Było tu dosyć tłoczno; najwyraźniej to miejsce upodobała sobie zwłaszcza młodzież, bo większość miejsc zajmowali ludzie mniej więcej w jej wieku albo trochę starsi. Trudno się dziwić, pomyślała. Znając swoich rodziców, którzy jadąc na wakacje, oczekiwali komfortu, wyobraziła sobie, że kiedy rano przyszli tu na śniadanie, musieli nie być zachwyceni, spożywając posiłek z kolanami pod brodą. Najprawdopodobniej nie uważali również piasku, który, unoszony wiatrem, dostawał się wszędzie - także do jedzenia - i zgrzytał między zębami, za fajne urozmaicenie.

Jej zupełnie to nie przeszkadzało. Czowała się wspaniale, siedząc przy stole obok grupy młodych Francuzów, z których kilkoro całkiem dobrze znało angielski i od razu zaczęli z nią rozmawiać. Atmosfera była tak sympatyczna, wesoła i na luzie, że Sara wcale się nie spieszyła z jedzeniem, a kiedy skończyła, długo jeszcze nie wstawała od stołu. Żegnając się ze swoimi nowymi znajomymi, postanowiła przychodzić tu na wszystkie posiłki. Tu przynajmniej nie czuła się jak dzieciak, który udaje dorosłego.

Trochę tylko żałowała, że nie było Roberta, ale on powiedział jej przecież, że idzie na obiad z rodzicami, więc siedział pewnie w jednej z dwóch bardziej eleganckich restauracji.

Miała jeszcze pół godziny, wróciła więc do bungalowu, żeby wziąć prysznic i przebrać się w jednoczęściowy kostium kąpielowy, uznała bowiem, że w czasie takiej wyprawy może być wygodniejszy niż bikini. Długo nie mogła się zdecydować, który włożyć -

biały czy czarny. Wybór padł na biały, ale kiedy przed wyjściem zerknęła do lustra, doszła do wniosku, że jest jeszcze za mało opalona - skóra dopiero lekko się zaróżowiła i biel podkreślała jej prosiaczkowaty odcień. Wróciła i przebrała się w czarny.

Potem jeszcze raz zawróciła - tym razem już z tarasu - po butelkę wody mineralnej, a później, kiedy była już na dróźnie, przypomniała sobie, że Robert powiedział jej, żeby koniecznie wzięła ze sobą wodoodporny krem do opalania. On był na Martynice już prawie od tygodnia i podobno pierwszego dnia słońce poparzyło go, właśnie kiedy pływał na rafie koralowej.

Gdy w końcu dobiegła do plaży, na dużej łodzi motorowej, cumującej przy drewnianym pomoście, było już kilkanaście osób. Próbowała wypatrzeć wśród nich Roberta. Nie należała do najbardziej tchórzliwych dziewcząt, ale nie była również osobą, która nie cofa się przed żadnym wyzwaniem, i od chwili, kiedy umówili się, że popłyną razem, czuła się pewniej ze świadomością, że będzie przy niej ktoś, kogo już zna. Kiedy więc zobaczyła na łodzi same obce twarze, miała ochotę zrezygnować. Zatrzymała się kilkadziesiąt metrów od pomostu i już zamierzała obrócić się na pięcie, gdy zobaczyła Roberta, wybiegającego z pawilonu centrum nurkowania.

Zauważył ją i unosząc ręce, w których trzymał cztery płetwy, dwie maski i rurki do nurkowania, zawołał:

- Wziąłem dla ciebie sprzęt!

Sara przez ułamek sekundy jeszcze się wahała, ale w twarzy i postawie chłopaka było coś takiego, co dawało jej pewność, że przy nim nic jej nie grozi.

- Dzięki - powiedziała, podbiegając do niego. - Przepraszam za spóźnienie.

- Już się bałem, że nie przyjdiesz.

- Właśnie przed chwilą byłam bliska tego, żeby stąd uciec - przyznała się.

- Naprawdę nie masz się czego bać. - Uśmiechnął się do niej i znów poczuła się absolutnie bezpieczna.

To było dziwne uczucie, ale bardzo przyjemne. Zbyt przyjemne. Nie powinna mieć takiego zaufania do chłopaka, którego znała zaledwie od paru godzin. Nie powinna również tak się cieszyć na jego widok. Cieszyła się jednak, i to tak bardzo, że musiała mieć to wypisane na twarzy - było tego pewna.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że on musiał to widzieć.

Patrzył na nią. Najpierw na twarz. Potem jego wzrok przesunął się wolno w dół.

W tym momencie żałowała, że nie włożyła jednak białego kostiumu. W białym na pewno wyglądałaby zgrabniej; był bardziej wycięty na udach i wydłużał nogi, a przede

wszystkim miał miseczki, w których mogła na upartego uchodzić za dziewczynę noszącą stanik dwójkę, podczas gdy tak naprawdę nawet jedyńki były dla niej zwykle za duże.

- Musimy iść, bo odpłyną bez nas - rzuciła i ruszyła w stronę łodzi, żeby uciec przed jego wzrokiem.

Wchodziła już na pomost, kiedy za plecami usłyszała jego głos:

- Zaczekaj! Musisz zobaczyć płetwy. Nie wiem, czy nie wziąłem za dużych.

Zatrzymała się. Po chwili był przy niej; w wyciągniętej ręce trzymał jedną z dwóch żółto - czarnych płetw. Sara spojrzała na nią i wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Musisz przymierzyć.

Stojąc na prawej nodze, próbowała wciągnąć płetwę na lewą stopę. Nie było to proste, bo czarna guma nie była śliska i okazała się bardzo mało elastyczna.

- Chyba za mała.

Chłopak popatrzył na jej stopę. Sara uświadomiła sobie, że zobaczy coś, co było jej zmorą. Duży palec - u każdego normalnego człowieka dłuższy niż sąsiedni - był o co najmniej pół centymetra krótszy.

Chciała się cofnąć, żeby umknąć przed spojrzeniem Roberta, ale straciła równowagę i pewnie runęłaby na drewniany pomost, gdyby jej nie podtrzymał.

Zazdrościła ludziom, którzy od razu opalają się na brązowo; teraz po raz pierwszy w życiu ucieszyła się, że ona najpierw robi się różowa jak prosie. Może dzięki temu nie zauważył, jak bardzo się zaczerwieniła.

- Powinna być dobra - powiedział, wziął płetwę i do dał: - Zaczekaj chwilę. Kucnął przy krawędzi pomostu, zanurzył ją w wodzie i oddał Sarze. - Spróbuj teraz.

Zanim to zrobiła, przytrzymał ją.

Starła się skupić na tym, żeby tym razem sprawnie wsunąć gumę na stopę, co wymagało nadludzkiego wysiłku, czuła bowiem na talii jego ramię. Sama się dziwiła, że jej się to w końcu udało.

- I jak? - spytała.

- Nie uwiera cię? Pokręciła głową.

- Nie ma za dużo luzu? Powtórzyła ten sam gest.

- No to wsiadamy, bo naprawdę odpłyną bez nas. Okazało się jednak, że Sara wcale nie jest największą spóźnialską, bo kiedy czarnoskóry mężczyzna obsługujący łódź zapuścił silnik, usłyszeli wołanie:

- Zaczekajcie! Chcę popłynąć z wami.

Sarze, mimo że przed chwilą było tak gorąco, że nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie ruszą w morze, nagle zrobiło się zimno.

W stronę pomostu biegł chłopak, a ściślej mówiąc toczył się, bo przecież komuś, kto waży dobrze ponad sto kilo trudno by było biec.

- To on - szepnęła Sara, która wraz z Robertem usadowiła się na dziobie łodzi.

- Kto? - spytał.

- Bob - odparła, patrząc na chłopaka, który był już prawie przy pomoście.

- Ta świnią, która zepsuła ci urodziny? Skinęła głową.

- Ja wysiadam - rzuciła, nie namyślając się długo, po czym zerwała się na równe nogi.

- Uważaj! - zawołał Robert, chwytając ją za rękę. - O mało nie wypadłaś za burtę.

Zrezygnowana i pogodzona z losem, opadła na dziób łodzi. I tak miała dużo szczęścia. Udało jej się spędzić prawie cały dzień, unikając towarzystwa Boba. Nie mogła przecież liczyć, że to będzie trwać wiecznie.

Robert tymczasem zwrócił się po francusku do człowieka obsługującego łódź. Nie znała tego języka, ale mogłaby przysiąc, że mówi płynnie. Gdyby nie wiedziała, że jest Amerykaninem, wzięłaby go za Francuza. Był niesamowity. Zastanawiała się, czym jeszcze może ją zaskoczyć. Nie miała pojęcia, co powiedział czarnoskóremu mężczyźnie, ale tamten wyłączył silnik.

Ze zdumieniem patrzyła, jak Robert sprawnie wyskakuje na pomost, podchodzi do Boba, kładzie mu rękę na ramieniu i po chwili razem schodzą z pomostu na plażę.

Rozmawiali krótko. Niecałą minutę później Robert wrócił na łódź, znów zwrócił się do mężczyzny przy sterze, a ten zapuścił silnik.

Zanim Sara zdążyła ochłonać, byli już kilkaset metrów od brzegu.

- Jak ci się to udało? - spytała. - Co mu powiedziałeś?

- Mam swoje sposoby - odparł tajemniczo, a po chwili dodał: - Nie chciałem, żeby jakiś głupi palant zepsuł ci twoje pierwsze spotkanie z rafą koralową.

Patrzyła na niego zdumiona, kręcąc tylko głową.

- Jeszcze by ci obrzygał ten kostium kąpielowy, a na prawdę ładnie w nim wyglądasz.

Może jednak dobrze zrobiła, że zdecydowała, się na czarny.

ROZDZIAŁ 7

Potem, gdy przypomniła sobie pierwszy kwadrans spędzony na rafie, wiedziała że pokonanie chęci, by natychmiast wrócić na łódź, wymagało od niej dużo samozaparcia. Ale nie żałowała, że się na nie zdobyła, bo kiedy wreszcie przestała panikować i nie musiała już walczyć z parą przesłaniającą szkła maski i wodą wlewającą się do rurki, tak że krztusiła się i była pewna, że za chwilę zymiotuje, zobaczyła świat, który dotychczas widziała wyłącznie na filmach przyrodniczych, z tą tylko różnicą, że tamten miał się do tego tak, jak zdjęcia ryb, które widziała wczoraj w gablocie zawieszonej na ścianie centrum nurkowania, do prawdziwych okazów.

- Dotknij mnie - powiedziała pół godziny później, kiedy ona i Robert wynurzyli głowy ponad powierzchnię, żeby oczyścić maski z pary i wody - bo mam wrażenie, że to wszystko jest tylko snem. Dźgnął ją mocno palcem w ramię.

- Czułem, że to złapiesz.

- Co?

- To coś. Wiedziałem, że jak po raz pierwszy zobaczysz rafę, to się w niej zakochasz.

- A można się nie zakochać w czymś takim?

- Jasne. Popatrz na tych wszystkich ludzi przyjeżdżających tu i spędzających czas nad basenem albo w barach przy plaży.

Sara musiała przyznać mu rację.

- Ale to pewnie dobrze, że są tacy ludzie - powiedziała. - Wiesz, jaki byłby tu tłok, gdyby wszyscy mieli ochotę na oglądanie rafy koralowej? - dodała, wkładając maskę.

Po chwili oboje zanurzyli się, by podziwiać dalej bajeczny świat, pełen kolorowych ryb różnej wielkości, od zaledwie kilkucentymetrowych do prawie metrowych, koralu o przedziwnych barwach i kształtach - szarych, przypominających rogi jelenia, zielonkawobrazowych, wyglądających jak półkule mózgowie jakichś gigantycznych stworów, kremowych, które można by wziąć za olbrzymie grzyby huby - liliowych ukwiałów, wdzięcznie poruszających się przy każdym poruszeniu wody, i mnóstwa innych cudów, o których Sara nie potrafiłaby nawet powiedzieć, czy to rośliny, czy zwierzęta.

Co jakiś czas Robert pokazywał jej w dole coś, co umknęło jej uwagi. Czasami w pierwszej chwili nie wiedziała, o co mu chodzi, ale kiedy patrzyła uważniej na wskazane przez niego miejsce, dostrzegała, na przykład, wystające ze szczeliny olbrzymie czułki

langusty - wtedy oczywiście nie miała jeszcze pojęcia, że to langusta, dowiedziała się o tym dopiero, gdy po raz kolejny wynurzyli głowy ponad powierzchnię wody.

- Myślałam, że to homary - powiedziała.

- Nie, homary mają szczypce, a nie czułki. Poza tym nie spotyka się ich na Karaibach, wolą zimniejsze wody - wyjaśnił Robert. - Widziałaś ośmiornicę?

Skończyła płukanie maski i skinęła głową.

- Nie zauważyłabym, gdyby nie to jej wielkie oko. - Sprawnie włożyła maskę i po chwili znów znaleźli się pod wodą. Pół metra koło nich, tuż pod powierzchnią, przemieściła się niewielka ławica szarozielonych ryb, przypominających długie sztywne patyki o pyskach podobnych do trąbek. Wyglądały, jakby nie pływały, tylko unosiły się w wodzie i poruszały się wraz z nią.

Po chwili Robert dotknął jej ramienia i wskazał coś na dnie. Spojrzała w tę stronę, lecz zobaczyła tylko szary kamień o nieregularnych kształtach, pokryty piaskiem i mułem. Kto by zwracał uwagę na jakiś kamień, podczas gdy dookoła jest tyle cudów? Rozłożyła ręce, dając znak swojemu towarzyszowi, że nie rozumie, o co mu chodzi, on jednak zanurkował w dół, uparcie dalej wskazując na dno. Może oprócz kamienia było tam coś jeszcze, coś, czego nie widziała?

Nabrała przez rurkę najwięcej, jak mogła, powietrza, zgięła się wpół i zanurkowała. Kiedy znalazła się jakiś metr pod powierzchnią, widziała kamień znacznie wyraźniej, mimo to nie rozumiała, co w nim jest takiego szczególnego, dopóki kamień się nie poruszył i nie spadło z niego trochę piasku i szlamu. Wtedy zobaczyła wyraźnie zarysy płetw i wyłupiaste oczy ryby, udającej, że jest kamieniem.

- Jak ją zobaczyłeś? - spytała, gdy następnym razem wynurzyli się, żeby przepłukać maskę. - Ja nigdy bym jej nie wypatrzyła. Kiedy mi ją pokazałeś, byłam pewna, że to kamień.

- Bo to jest ryba kamień. Fachowo nazywa się szkaradnica, ale chyba nikt tak na nią nie mówi. Jak popływasz trochę na rafie, nauczysz się widzieć rzeczy, których teraz nie dostrzegasz.

Ale to, co dostrzegała, wystarczało jej w zupełności. Nigdy by nie pomyślała, że na tym niewielkim kawałku może żyć tyle gatunków przeróżnych stworzeń. Najpiękniejsze jednak ujrzała na koniec.

Kiedy znów wynurzyli się, żeby wyczyścić maski i podzielić się swoimi wrażeniami, zobaczyli, że mężczyzna obsługujący łódź macha do nich z dala i pokazuje na zegarek.

- Musimy wracać - powiedział Robert, zerknąwszy na swojego wodoodpornego swatcha. - Od pięciu minut po winniśmy być na łodzi.

Szybko nałożyli maski, zanurzyli się i zaczęli energicznie poruszać nogami. I właśnie wtedy, nie dalej niż metr od nich, przepłynęła wielka granatowa, biało nakrapiana płaszczka. Była tak duża, że sam ostry bolec na końcu jej ciała miał co najmniej metr długości.

Sara zdawała sobie sprawę, że powinni się spieszyć, ale piękne morskie stworzenie najwyraźniej postanowiło ich zatrzymać i urządziło spektakl podwodnego baletu. Patrzyła na ten pokaz jak urzeczona i kiedy płaszczka odpłynęła trochę dalej, podążyła za nią.

Robert, który cały czas jej towarzyszył, po chwili wskazał na zegarek i dał znak, że trzeba zawracać, lecz ona nie była w stanie oderwać wzroku od wielkiego stworzenia, które chyba wyczuwając, że może stracić widownię, zaczęło się popisywać jeszcze bardziej. Kiedy znów zyskało pewność, że jest podziwiane, oddaliło się niczym kapryśna primabalerina, lekceważąca swoich wielbicieli.

Sara chciała choćby przez chwilę popatrzeć, zanim płaszczka całkiem zniknie z jej pola widzenia, i lekceważąc znaki Roberta, ruszyła za nią. Stworzenie zatrzymało się, jakby się z nią droczyło, po czym zaczęło płynąć jeszcze szybciej. Próbowwała dotrzymać mu kroku, ale wkrótce zniknęło w dalekiej głębi.

Właśnie w tym momencie, kiedy zupełnie straciła je z oczu, Robert gwałtownie pociągnął ją za ramię. Maską zakrywała większą część jego twarzy, więc Sara bardziej czuła, niż widziała, że jest zły, i kiedy dał jej znak, żeby zawracać, zrobiła to bez namysłu.

Była pewna, że chodzi mu o to, że inni czekają już na nich w łodzi, po chwili jednak zrozumiała, że martwił się o coś innego. Kiedy podążyła za płaszczką, nie poczuła silnego prądu, po pierwsze dlatego, że była nią zafascynowana, a po drugie dlatego, że płynęła z prądem.

Teraz musiała się z nim zmagać. Energiczniej poruszała nogami, lecz nie wystarczyło. Najmocniej jak mogła, rozgarniała wodę rękami, lecz i to okazało się mało skuteczne. Kiedy spojrzała w dół, z przerażeniem stwierdziła, że nie posunęła się ani o kawałek - wciąż była nad tym samym wielkim koralowcem, którego widziała jakiś czas temu.

Wpadła w panikę i zaczęła jeszcze szybciej przebierać nogami i rękami. Szybciej jednak nie znaczy bardziej efektywnie. Przekonała się o tym, gdy znów zerknęła w dół i zorientowała się, że koralowiec wcale nie jest za nią, tylko przed nią.

Z przerażeniem uzmysłowiła sobie, że nie uda jej się pokonać morza.

I samej pewnie by się nie udało, ale w chwili gdy zaczęły ją ogarniać czarne myśli, poczuła na ramieniu silną dłoń. Robert, który najwyraźniej nie miał takich problemów z płynięciem pod prąd, zorientował się, że ona sobie nie radzi, i postanowił jej pomóc.

Sara natychmiast poczuła się raźniej i skupiła się na tym, by tak skoordynować swoje ruchy, żeby - nawet jeśli nie była w stanie mu pomóc - przynajmniej nie przeszkadzać.

Po kilku minutach wspólnych zmagania - Robert cały czas trzymał ją za rękę - poczuła, że prąd nie jest już tak silny. Właściwie nie było już powodu, żeby chłopak dalej ją holował, ale nie miała nic przeciwko temu, że puścił jej dłoń dopiero wtedy, gdy oburącz złapała się drabinki, po której wspięła się na łódź.

Czarnoskóry mężczyzna i pozostali uczestnicy wyprawy spojrzeli na nią z lekkim wyrzutem, tak jak się zawsze patrzy na spóźnialskich, na których musi czekać cała grupa.

Było jej głupio, ale nie była nawet w stanie wydobyć z siebie głosu, żeby powiedzieć „przepraszam”. Na szczęście Robert wszedł już do łodzi i zrobił to za nią. Podczas gdy ona łąpczywie piła wodę z butelki, którą wzięła ze sobą na łódź, a potem ochlapała nią twarz, on mówił coś po francusku. Sądząc po jego gestach i zainteresowaniu, jakie we wszystkich na łodzi wzbudziły jego słowa, domyśliła się, że opowiada o płaszczce i o silnym prądzie, z którym musieli walczyć.

Co jakiś czas przerywał, żeby zaczerpnąć powietrza. Sara uzmysłowiła sobie, że on też musi być okropnie zmęczony, i podsunęła mu butelkę. Przyjął ją, dziękując skinieniem głowy, i od razu zaczął pić.

- Przepraszam - zwróciła się do mężczyzny obsługujące go łódź i do innych. - Obiecuję, że już więcej się nie spóźnię.

Mężczyzna uśmiechnął się, zapuszczając silnik, pozostali również wyglądali na udobruchanych, a siwowłosy pan powiedział do niej przyjaźnie:

- Ja też bym się spóźnił, gdybym zobaczył płaszczkę. Jestem tutaj od dwóch tygodni i codziennie płynę na tę rafę. Wszystko już na niej widziałem, żółwie, mureny, ośmiornice, barakudę, nawet małego rekina, ale płaszczki jeszcze nie. Mieliście dużo szczęścia.

To ja miałam dużo szczęścia, przyszło do głowy Sarze, i wcale nie myślała przy tym o płaszczce.

- Dziękuję - zwróciła się cicho do Roberta. - I przepraszam.

- Nie ma za co - odparł, oddając jej butelkę. - Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

- Zachowałam się jak idiotka.

- Nie jak idiotka - powiedział, uśmiechnął się i dodał: - Może trochę lekkomyślnie.

- Właśnie - weszła mu w słowo. - Jak lekkomyślna idiotka.

- Nie przesadzaj z tą samokrytyką - rzucił lekkim tonem, po czym, już bardzo poważnie, zapytał: - Nie czułaś tego prądu?

- W ogóle, i to w tym wszystkim jest najstraszniejsze.
- No to jedno jest jasne - rzekł Robert i zrobił tajemniczą minę.
- Co takiego?
- To, że dopóki nie poznasz lepiej morza i rafy, jesteś skazana na moje towarzystwo.
Nie miała nic a nic przeciwko temu.

ROZDZIAŁ 8

Zanim zeszli z łodzi na pomoście przy plaży, dowiedzieli się, że nazajutrz łódź płynie na rafę tylko rano.

- Dlaczego? - spytała rozczarowana Sara. - Wcześniej umówili się z Robertem, że popłyną rano i wieczorem.

- Jutro jest Wigilia - wyjaśnił chłopak, który pomagał zacumować motorówkę.

Zupełnie o tym zapomniała. W Nowym Jorku byłoby to zupełnie niemożliwe. Tam, gdziekolwiek człowiek się poruszył, wszystko zapowiadało nadejście świąt. Tu, wśród palm kokosowych, na ponad trzydziestostopniowym upale trudno było sobie wyobrazić, że coś takiego jak Boże Narodzenie w ogóle istnieje.

Spojrzała na słońce, które zbliżało się już do linii horyzontu, i pomyślała, że jutro o tej porze pewnie wszyscy będą się już przygotowywać do uroczystej kolacji. Martynika należy do Francji, a Sara wiedziała, że w Europie równie ważny, jak samo Boże Narodzenie, jest poprzedzający je dzień.

- Możemy po południu popływać na rafie koło hotelu - powiedział Robert. - Nie jest taka ładna jak ta, na której byliśmy dzisiaj, ale też trafiają się ciekawe rzeczy.

Oddali maski, rurki i płetwy w pawilonie centrum nurkowania i wolnym krokiem ruszyli wzdłuż brzegu morza.

- Gdzie jest twój bungalow?

Sara wskazała jedną z odchodzących od plaży drózek.

- Trzeba iść jakieś trzysta metrów tamtą drogą. A twój?

- Tam. - Odwrócił się i wyciągnął rękę, pokazując kierunek.

- No to mieszkamy dokładnie po przeciwnych stronach - zauważyła i zatrzymała się. - Wracasz teraz do bungalowu?

Robert skinął głową.

- Powiedziałem rodzicom, że będę po szóstej, a jest już prawie siódma. Nie chcę, żeby się martwili.

Sarze nagle zrobiło się smutno, że o nią nikt się nie martwi, ale jeszcze smutniej zrobiło jej się na myśl, że za chwilę rozstanie się z Robertem i zobaczy go dopiero jutro rano. Nie chciała go jednak zatrzymywać.

- No to musisz już lecieć - rzuciła, - I jeszcze raz dziękuję ci za wszystko.

- Nie ma za co. Cieszę się, że ci się podobało.

- No to cześć. - Już zamierzała się odwrócić i iść dalej plażą, ale on nie ruszał się z miejsca.

- Masz jakieś plany na wieczór?

Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, jak bardzo czekała na to pytanie.

- Właściwie... - Głupia, zganiła się w myślach. Co to znaczy „właściwie”? - Nie, nie mam. A ty?

- Ja też nie.

Na chwilę zapanowało między nimi niezręczne milczenie. Robert odezwał się pierwszy.

- No to może zrobimy coś razem. Jak myślisz, o której będziecie po kolacji?

- My?

- No, ty i twoi rodzice.

- Mówiłam ci, że moja mama wymyśliła, że mogę sobie robić, co chcę, gdzie chcę i kiedy chcę. I te zasady dotyczą również posiłków.

- Fajnie masz.

Nie była co do tego zupełnie przekonana. To był dopiero pierwszy dzień, a ją cała ta sytuacja zaczynała już trochę irytować.

- Mnie z moimi nie udałoby się chyba załatwić czegoś takiego - powiedział Robert. Chwilę nad czymś się zastanawiał. - Ale chyba nie mieliby nic przeciwko temu, żebym kilka razy zjadł sam obiad albo kolację.

Są jeszcze na świecie normalni rodzice, pomyślała Sara, tacy, których obchodzi, co robi ich dorastające dziecko, ale jednocześnie zostawiają mu pewien margines swobody.

- Myślisz, że się na to zgodzą? - spytała.

- Na pewno. To gdzie się wybierałaś dzisiaj na kolację?

- Ta restauracja przy plaży jest całkiem sympatyczna. - Aha, mnie też się podoba. O której mogłabyś tam przyjść?

Najchętniej od razu, chciała odpowiedzieć, ale powstrzymała się, zerknęła na zegarek, udała, że się namyśla, i dopiero potem odparła:

- Za jakieś pół godziny.

- No to spotkajmy się tam o wpół do ósmej.

- To na razie - rzuciła Sara.

- Cześć!

Zanim dotarła do dróżki prowadzącej do jej bungalowu, szła normalnym krokiem; kiedy zeszła z plaży, zaczęła biec, uświadomiła sobie bowiem, że pół godziny to bardzo mało

czasu dla dziewczyny, która musi dotrzeć na miejsce, wziąć prysznic, zrobić z siebie bóstwo, a potem wrócić na plażę i dojść do restauracji.

Zwłaszcza to robienie z siebie bóstwa nie było takie proste, bo kiedy spojrzała do lustra i zobaczyła czerwoną świecąca twarz, uznała, że nie obędzie się bez nałożenia make - upu. A jeśli ktoś chce to zrobić tak, żeby wyglądał, jakby nie miał na sobie tapety, wymaga to, niestety, trochę czasu.

Kiedy wreszcie udało jej się uzyskać jaki taki efekt i skóra na twarzy nie przypominała już barwą wrzuconego na gorącą wodę raka, rozpoczęło się przerzucanie garderoby. Z jednej strony zależało jej na tym, by wyglądać jak najładniej, z drugiej - nie chciała, żeby Robert pomyślał, że się dla niego wystroiła. Dopiero przy trzecim zestawie mierzonych ubrań - białych szortach biodrówkach i obcisłej krótkiej górze w biało - niebieskie paseczki - uznała, że może być.

Już chciała wychodzić z bungalowu, gdy uzmysłowiła sobie, że o czymś kompletnie zapomniała.

Podeszła do stolika w salonie. Obok zapisanej już kartki leżała druga, wyrwana z papeterii, na której była wiadomość od mamy: „Idziemy na kolację w restauracji przy recepcji. Potem chyba zostaniemy w hotelowym lobby i zagramy z Dickinsonami w kanastę. Ale nie jesteśmy pewni, może wpadniemy na inny pomysł”.

No nie! Może wpadną na inny pomysł! Nie wiadomo, gdzie są, nie wiadomo, kiedy wrócą. Pięknie, po prostu pięknie. Ja ich przynajmniej o wszystkim informuję, pomyślała. Przez chwile zastanawiała się, czy nie napisać czegoś w podobnym stylu, ale w końcu doszła do wniosku, że jeśli ona będzie się trzymała ustalonych zasad, to może ich czegoś nauczyć.

Wzięła długopis i napisała: „Idę na kolację do restauracji przy barze, potem pójdę pewnie do dyskoteki. Wrócę przed jedenastą”. Zastanawiała się przez chwilę, jak by zareagowali, gdyby się dowiedzieli, że wróci nad ranem, ale wolała nie eksperymentować. Zerknęła jeszcze raz na trzy zdania skreślone przez mamę, po czym wzięła znów długopis do ręki i dopisała: „PS. Gdybym przypadkiem wpadła na inny pomysł, to wrócę i zostawię Wam wiadomość”.

Bardzo z siebie zadowolona, wyszła z bungalowu i popędziła nad morze. Gdy dotarła do brzegu, normalnym krokiem ruszyła plażą w stronę restauracji. Miała tylko nadzieję, że kiedy dojdzie na miejsce, serce nie będzie jej już tak mocno biło, a oddech zdąży jej się wyrównać. Nie chciała, żeby Robert domyślił się, jak bardzo się spieszyła na spotkanie z nim.

Oddech się wyrównał, lecz serce biło coraz mocniej, zwłaszcza gdy rozejrzała się po restauracji i stwierdziła, że go tam nie ma.

Popatrzyła na zegarek. Była za piętnaście ósma; spóźniła się cały kwadrans. Pewnie odechciało mu się czekać na nią i poszedł zjeść kolację z matką i ojcem. Albo w ogóle go tu nie było, bo rodzice się nie zgodzili. Albo wcale mu na tym nie zależało, żeby spędzić z nią ten wieczór. Nagle ta trzecia możliwość wydała jej się najbardziej prawdopodobna. Bo po co tak fantastyczny chłopak jak on - przystojny, zabawny, wysportowany, mówiący płynnie po francusku - miałby spędzać wieczór z kimś takim jak ona - głupią gęsią, która poza angielskim tylko trochę zna hiszpański, nie potrafi w czasie burzy zapanować nad rowerem, płynie z prądem, a potem nie ma siły, żeby wrócić, a na dodatek jej duże palce u nóg są krótsze od sąsiednich. Tak, to wszystko, przez te przekłete paluchy, pomyślała i właśnie w tym momencie poczuła na ramieniu ciepłą dłoń.

Odwróciła się i uśmiechnęła, nawet nie próbując ukryć ulgi.

- Czekałem na ciebie kilka minut, a potem postanowiłem wyjść ci naprzeciw. Musiałem pomylić drogi - powiedział Robert zadyszczanym głosem. - Dotarłem do pola golfowego, a po drodze nie minąłem ani jednego bungalowu.

- Przepraszam, spóźniłam się trochę. Pomyślałam, że zobaczyłeś, że mnie nie ma, i poszedłeś zjeść kolację z rodzicami albo że oni się nie zgodzili. - O krótszych dużych palcach u nóg nie wspomniała.

- Nawet gdyby się nie zgodzili, i tak przyszedłbym, żeby ci o tym powiedzieć.

Sara zdziwiła się, że nie pomyślała o tym wcześniej. Kiedy tylko znalazł się przy niej, cała niepewność zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Gdzieś to już słyszała. Nie pamiętała gdzie i od kogo. Może przeczytała w jakiejś książce, może powiedziała jej to któraś z koleżanek, wiedziała jednak, że takie wahania między pewnością i niepewnością odczuwają ludzie zakochani.

Nie, to niemożliwe, przywołała się do porządku. Znam go zaledwie od ośmiu godzin; nie mogę być w nim zakochana.

Musiała jednak unikać patrzenia mu w oczy, bo za każdym razem, kiedy ich spojrzenia się krzyżowały, przekonywanie siebie, że to nie miłość, tylko zwykła wakacyjna przygoda, fascynacja, która na takiej wyspie jak Martynika może się przytrafić każdej normalnej dziewczynie, było coraz trudniejsze.

Tego wieczoru jednak ich spojrzenia chyba zbyt często się krzyżowały, bo kiedy krótko przed jedenastą rozstawali się przed bungalowem Sary, nie próbowała nawet sobie wmawiać, że nie jest zakochana.

Wiedziała o tym już pół godziny wcześniej, kiedy po raz pierwszy pocałowali się w altanie na końcu mola. Nie był to jej pierwszy pocałunek. Spotykała się już z trzema

chłopakami i z każdym z nich się całowała. Zawsze po tym myślała, że pocałunek jest czymś stanowczo przereklamowanym. Dziś, po raz pierwszy w życiu, była innego zdania.

Zanim weszła do bungalowu, stała przez chwilę na tarasie, żeby trochę ochłonąć. W salonie świeciły się światła, domyśliła się więc, że rodzice już wrócili. Spojrzała na oddalającego się asfaltową dróżką Roberta. Kiedy odwrócił się i zobaczył, że wciąż nie weszła do środka, pomachała mu i nacisnęła klamkę.

Mama i tata siedzieli na kanapie w salonie i najwyraźniej byli w świetnych humorach.

- Cześć - rzuciła.

- O, Sara! - mama zawołała. - To miło, że jesteś tak punktualna.

Dziewczyna zerknęła na zegarek; była za dwie jedenasta. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie usłyszała w jej głosie sarkazmu, ale wydało jej się to mało prawdopodobne; mama była w zdecydowanie zbyt dobrym nastroju na takie małe złośliwości.

- Jak spędziłaś dzień? - spytała córkę przyjaźnie i serdecznie.

Sara obawiała, że atmosfera między nią i rodzicami będzie napięta, nic jednak na to nie wskazywało, usiadła więc z ulgą na kanapie i zaczęła opowiadać o przygodzie na rowerze i o wyprawie na rafę.

- Musicie też koniecznie popłynąć tą łodzią - powie działa, kiedy już, rozpluwając się w zachwycie, wymieniła wszystkie cuda, jakie tam widziała. - To trzeba zobaczyć na własne oczy. Naprawdę nie będziecie żałować.

- Wybierzemy się tam, prawda? - zwrócił się ojciec do matki.

- Chętnie - odparła i spojrzała na córkę. - O której ta łódź odpływa?

- O siódmej rano i o czwartej po południu.

- To może jutro? - zaproponowała mama.

- Czemu nie - zgodził się tata.

- Ale jutro jest Wigilia, a Francuzi obchodzą ten wieczór bardzo uroczyście, więc motorówka płynie tylko z rana. Ja zamierzam popłynąć. - Wahala się przez chwilę. Z jednej strony perspektywa towarzystwa rodziców na jutrzejszej wyprawie nie wydawała jej się aż tak pociągająca, z drugiej, nie miałyby nic przeciwko temu, żeby zobaczyli, jakiego wspaniałego chłopaka poznała. Pomyślała jednak, że byłby to egoizm, gdyby z powodu chęci spędzenia kilku godzin sam na sam z Robertem pozbawiła ich możliwości obejrzenia bajecznego podwodnego świata. I ten ostatni argument przeważył szalę. - Możecie się wybrać ze mną.

- O siódmej? - spytała mama sceptycznym głosem. - Nie, nic na świecie nie zmusi mnie, żebym w czasie urlopu zrywała się z łóżka o szóstej rano - zdecydowała i zwróciła się do męża: - Popłyniemy kiedy indziej, prawda.

- Jasne, mamy na to mnóstwo czasu.

- A właśnie! - Matka nagle coś sobie przypomniała. - Wracając do jutrzejszego wieczoru. - Wskazała na kartkę z życzeniami świątecznymi od kierownictwa hotelu, którą zostawiła dzisiaj sprzątaczką.

Sara widziała ją już wcześniej, kiedy wróciła do bungalowu przed kolacją, ale za bardzo się spieszyła, żeby ją przeczytać.

Oprócz życzeń była na niej informacja, że w Wigilię kolacja będzie podawana tylko w największej restauracji, tej przy recepcji. Po dopisku, że mile będą widziane stroje wieczorowe, domyśliła się, że należy się spodziewać pełnej gali.

Zerknęła na matkę, która patrzyła na nią wyczekująco. W Wigilię w ich domu nie urządzano nigdy żadnych wielkich przyjęć, ale zawsze spędzali ten wieczór razem przy choince, Sarze nie przeszło więc nawet przez głowę, że jutro mogłaby pójść na kolację bez rodziców.

- Chyba pójdziemy, prawda? - rzuciła. Mama uśmiechnęła się.

- Nie chciałabym łamać zasad, które wczoraj sama zaproponowałam. Możesz, oczywiście, sama decydować, co chcesz robić jutro wieczorem, ale mnie i tacie byłoby bardzo miło, gdybyśmy spędzili ten wieczór wszyscy razem.

- Ale ja właśnie chcę pójść z wami na tę kolację.

- No to się świetnie składa.

Sara ucieszyła się, że wreszcie znów zaczynają przypominać normalną rodzinę, ale kiedy dziesięć minut później leżała w łóżku, uświadomiła sobie, że „wszyscy razem” nie oznacza pewnie tylko jej i rodziców, ale i przyjaciółkę mamy, jej męża i... syna. I nagle stwierdziła, że perspektywa spotkania z Bobem wcale jej już tak nie przeraża. Może Mandy miała rację, mówiąc, że uwzięła się na tego biednego chłopaka.

Sara uświadomiła sobie, że od kiedy przyleciała na Martynikę, ani razu nie przyszło jej do głowy pytanie, które w Nowym Jorku zadawała sobie, ilekroć myślała o czekającym ją spotkaniu z Bobem: za jakie grzechy?

Wkrótce nie myślała już o Bobie, lecz o innym chłopaku, z którym miała się zobaczyć już za siedem godzin.

ROZDZIAŁ 9

Kiedy weszli do restauracji przy plaży, jeszcze tylko kilka osób siedziało przy stołach.

- Mam nadzieję, że zostało coś dla nas w bufecie - powiedział Robert.

- Ja też. - Śniadania w hotelu podawano od siódmej, nie zdążyli więc zjeść przed wypłynięciem na rafę. - Nie pamiętam, kiedy byłam taka głodna.

Na szczęście jedzenia było w bród, a Sara nie miała już takich problemów z wyborem jak wczoraj. Robert, który przyleciał na Martynikę kilka dni wcześniej, miał lepsze rozeznanie i chętnie jej doradzał.

Nałożyli sobie po pełnym talerzu, a potem poszli jeszcze do bufetu po dokładkę.

- Pęknę, jak to wszystko zjem - zażartowała, kiedy wracali do stołu.

Zaspokoiли pierwszy głód i dokładkę jedli już znacznie wolniej, rozmawiając o dzisiejszej wyprawie na rafę. Płaszczka co prawda się nie pojawiła, ale widzieli wiele innych ciekawych morskich stworzeń - ośmiornicę, znacznie większą od tej wczorajszej, dwa bardzo towarzyskie żółwie i kilka najeżek, przezabawnych ryb, które w chwili gdy wyczuwają niebezpieczeństwo, nadymają się i stroszą kolce pokrywające całą ich skórę.

- Z tymi żółwiami to mieliśmy dużo szczęścia - po wiedział Robert. - Pierwszy raz je tutaj widziałem. Podobno są na Karaibach bardzo wytrzebione.

- Polują na nie? - spytała przerażona Sara. Chłopak skinął głową.

- Jak można zabijać tak sympatyczne zwierzęta?! - oburzyła się. - To powinno być zabronione.

- I jest. Ale wiesz, jak ludzie nie przestrzegają zakazów. Dawno skończyli już jeść, wciąż jednak siedzieli przy stole i rozmawiali. Dopiero kiedy zobaczyli, że kelnerzy zabierają z bufetu potrawy, popatrzyli na zegarek. Było już wpół do jedenastej.

- Trzeba się zbierać - rzuciła Sara.

- Co robimy? - zapytał Robert.

Nie zastanawiała się jeszcze nad tym, jak spędzi dalszą część dnia, ale ucieszyło ją, że zakładał, iż spędzą go razem, przynajmniej najbliższe godziny.

- Masz jakiś pomysł? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Całą masę pomysłów. Możemy, na przykład, wypożyczyć wodny skuter, pojeździć na rowerach albo spróbować windsurfingu. Popatrzył na spokojne wody zatoczki i pokręcił głową. - Nie, windsurfing dzisiaj odpada, nie ma ani trochę wiatru. - Możemy jeszcze położyć się na plaży pod palmą i po prostu pogadać.

Ten ostatni pomysł wydał jej się najbardziej kuszący, ale korcił ją również skuter.

- Nigdy nie jeździłam na wodnym skuterze - powie działa.

- No to koniecznie musisz spróbować.

Nagle obleciał ją strach. Uznała bowiem, że rozsądna dziewczyna nie powinna raczej robić czegoś, czego nie robiła nigdy w życiu i o czym nie ma zielonego pojęcia, przy chłopaku, w którym jest zakochana. A Sara obudziła się tego dnia jeszcze bardziej zakochana, niż była wieczorem, kiedy kładła się do łóżka.

Robert musiał wyczuć jej obawy.

- Wypożyczymy jeden skuter. Pojeździmy na początku razem, a potem, jak już będziesz wiedziała co i jak i będziesz miała ochotę, możemy wziąć drugi.

- Dobrze - zgodziła się ochoczo, dochodząc do wniosku, że w ten sposób będzie miała możliwość wypróbowania czegoś nowego bez narażania się na kompromitację.

Nie odważyła się tego dnia sama wsiąść na skuter, a Robert tego, na szczęście, drugi raz nie proponował. Po co mieli jeździć osobno, skoro tak dobrze było im razem?

- I jak było? - zapytał, kiedy po godzinie oddawali skuter do wypożyczalni.

- Fantastycznie - odparła rozpromieniona.

Nie była pewna, co jej się w tym najbardziej podobało - prędkość, która dawała zupełnie nieznaną poczucie wolności, wiatr, woda czy wszystko razem - wiedziała jednak, że gdyby jeździła na wodnym skuterze sama albo z kimś innym, nie byłaby to nawet w połowie ta sama przyjemność.

- Dzięki, gdyby nie ty, nie przyszłoby mi do głowy, żeby tego spróbować.

- Widzisz, to kolejny powód, dla którego musimy się trzymać razem.

Sara nie potrzebowała kolejnych powodów. Miała jeden, który w zupełności jej wystarczał.

Następne dwie godziny spędzili na plaży. Co kilka minut wchodzili do morza, żeby trochę się ochłodzić, bo choć leżeli w cieniu palmy, wczesnopołudniowy upał dawał się we znaki.

Nie czuła, jak bardzo jest zmęczona, dopóki o drugiej nie poszli na obiad. Kiedy usiadła na drewnianym balu, nagle zrobiła się tak senna, że nie była w stanie powstrzymać ziewania, a głowa omal jej nie opadła na blat niskiego stołu.

- Chyba jesteś trochę zmęczona - zauważył Robert.

- Chyba. - Uśmiechnęła się do niego resztkami sił. - Właściwie sama nie wiem dlaczego. Może po prostu za krótko dzisiaj spałam.

- Pewnie jeszcze się aklimatyzujesz. Ja dwa dni po przylocie nie nadawałem się zupełnie do niczego.

Szkoda jej było każdej minuty spędzonej bez niego, zwłaszcza że wieczorem, nawet jeśli się spotkają, to tylko na krótko, mimo to czuła, że jeśli się nie prześpi, to zaśnie przy kolacji.

- Powinam chyba wrócić do bungalowu i trochę pospać.

- Pewnie dobrze by ci to zrobiło. Była trochę rozczarowana, że tak łatwo rezygnuje z jej towarzystwa.

- A ty?

- Co ja?

- Masz jakieś plany na popołudnie.

- Zagram pewnie z ojcem w tenisa.

Sara czuła, że jeśli zaraz nie wstanie, spadnie z drewnianego bala.

- Chyba już pójdę - oznajmiła, podnosząc się.

- Zaczekaj, odprowadzę cię.

W drodze prawie się nie odzywała, ale Robert, który nie wyglądał na zmęczonego czy niewyspanego, również niewiele mówił.

- Pewnie spotkamy się przy kolacji - powiedziała, kiedy zatrzymali się przed tarasem.

- Mam nadzieje, że zobaczymy się w tym tłumie.

- Widziałeś kiedyś tłumy w tym hotelu? - zdziwiła się Sara.

- Nie, ale na co dzień ludzie chodzą do trzech różnych restauracji, a posiłki wydawane są przez kilka godzin. Dzisiaj wszyscy goście hotelowi zjawią się w jednej restauracji o tej samej porze - wyjaśnił. - Myślę, że może być dosyć ciasno.

Sara przyznała mu rację, lecz nie wyobrażała sobie, że mogłaby go przeoczyć nawet w największym tłumie.

Zamknęła oczy, kiedy nachylił się i pocałował ją delikatnie.

- Wyśpij się - powiedział niskim głosem.

Skinęła tylko głową, bo nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- I wiesz co? - dodał po chwili, - Na wypadek, gdybyś my nie spotkali się przy kolacji, umówmy się gdzieś... na przykład o dziewiątej.

- Nie ma możliwości, żebyśmy się nie spotkali.

- Tak na wszelki wypadek. Umarłbym z tęsknoty, gdybym cię już dzisiaj nie zobaczył.

- Powiedział to lekkim żartobliwym tonem, ale Sarze i tak serce zabiło szybciej.

Nie wiedziała dlaczego - czy z powodu tych ostatnich słów Roberta, czy po jego pocałunku, czy może z powodu naderwanej skórki przy paznokciu, która wciąż zahaczała o prześcieradło, potwornieją irytując - nie mogła zasnąć. W końcu postanowiła zrobić coś ze skórką, wstała z łóżka i poszła do łazienki, żeby poszukać czązków.

- Cholera - zakłęła pod nosem, kiedy przeszukawszy szufladę, do której włożyła swoje przybory i kosmetyczkę, stwierdziła, że nigdzie ich nie ma. Musiała ich po prostu nie wziąć z domu.

Nie lubiła grzebać w nie swoich rzeczach, ale nie miała wyjścia. Poszła do sypialni rodziców i zaczęła otwierać po kolei wszystkie szuflady w komodzie po tej stronie łóżka, po której spała mama. Najniższa szuflada była prawie pusta. Na jej dnie leżały tylko dwie zawinięte w błyszczący papier paczuski, z fantazyjnie zawiązanymi kokardami. Mama była mistrzynią w pakowaniu prezentów.

- Cholera - zakłęła po raz drugi. Od dziesięciu lat, to znaczy od czasu, kiedy zaczęła dostawać kieszonkowe, kupowała rodzicom jakieś prezenty na Boże Narodzenie. W tym roku zupełnie nie przyszło jej to do głowy, podczas gdy oni nie zapomnieli. W każdym razie mama nie zapomniała, bo na karteczkach przyczepionych do paczuszek były wypisane imiona Sary i taty.

Jestem okropna, pomyślała i właśnie wtedy przypomniała sobie o ciągu pawilonów wzdłuż drogi prowadzącej do recepcji, w których mieściło się kilka butików. Nie przyglądała się wystawom, ale z nadzieją, że w którymś z tych małych sklepików coś znajdzie, wróciła do swojego pokoju i wyjęła z szafy plecak. W jednej z jego kieszeni trzymała kartę kredytową. Od kiedy ją miała, nie dostawała już kieszonkowego. Miała miesięczny limit, który mogła przekroczyć do jego trzykrotnej wysokości, co w praktyce oznaczało, że jeśli jednego miesiąca wyda trzy razy większą sumę, niż ustalili to jej rodzice, w ciągu następnych dwóch nie będzie miała ani grosza. Trudno, kilka razy znalazła się w takiej sytuacji i jakoś udało jej się przeżyć.

Włożyła pierwszy T - shirt, który nawinął jej się pod rękę, wyszła z bungalowu i pobiegła dróżką prowadzącą do recepcji. Kiedy mijała restaurację przy basenie, coś zwróciło jej uwagę. Kelnerzy krzatali się koło bufetu, zabierając stamtąd potrawy, które pozostały po obiedzie. Wszystkie stoliki były puste. Poza jednym, przy którym, plecami do Sary, siedział ktoś nad pełnym talerzem jedzenia.

Nie musiała widzieć jego twarzy, i tak nie miała wątpliwości, że to Bob. Uśmiechnęła się do siebie. Nie wzbudzał już w niej ani agresji, ani niechęci, ani złości. Może tylko trochę współczucia.

Z mocnym postanowieniem, że będzie dla niego miła, kiedy się spotkają przy kolacji, ruszyła dalej.

Ze znalezieniem prezentu dla mamy nie miała żadnego problemu. Jedwabne ręcznie malowane chusty były prześliczne. Co prawda kosztowały dokładnie tyle, ile wynosiło jej miesięczne kieszonkowe, lecz Sara nie wahała się ani chwili. Nie widziała tylko, na którą się zdecydować, dopiero kiedy wypatrzyła tę z podobizną ryby papuziej, idealnie w tych samych kolorach, jakie widziała pod wodą - nie na zdjęciu, bo zdjęcia tylko w małej części oddają subtelność odcieni - wiedziała, że nie musi dalej szukać.

Znalezienie prezentu dla ojca było trudniejsze. W końcu zdecydowała się na kupienie butelki, w którą był wbudowany żaglowy stateczek zrobiony z zapalek. Tata miał małą kolekcję takich butelek, która pozostała mu jeszcze z dzieciństwa, więc powinien się ucieszyć z nowego eksponatu.

Poprosiła stojącą za ladą kobietę, żeby zapakowała oba prezenty. Kiedy ta zmagala się z szeleszczącym papierem, Sara obliczyła, że do połowy lutego nie będzie miała ani grosza kieszonkowego, ale nie żałowała wydanych pieniędzy.

Wróciła do bungalowu szczęśliwa i zasnęła, ledwie się położyła. Naderwana skórka przy paznokciu nie przeszkadzała jej ani trochę, ponieważ zupełnie o niej zapomniała.

L/wie godziny później obudziły ją jakieś odgłosy dochodzące z salonu i szum prysznica w łazience. Wystraszona, że nie zdąży przygotować się do kolacji, przetarła oczy i spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta, miała więc wystarczająco dużo czasu, żeby się wykapać, umyć i wysuszyć włosy, umalować się i ubrać.

- Już chcieliśmy cię budzić - powiedziała matka, kiedy zobaczyła Sarę, wchodzącą do salonu. - Musisz się pospieszyć. Dziś nie powinniśmy się spóźnić na kolację.

- Mamo, mam całą godzinę - Możesz być spokojna, o siódmej będę gotowa.

- O siódmej mamy być już na miejscu.

- No to będę gotowa za dziesięć siódma - oznajmiła dziewczyna, po czym, podchodząc do drzwi łazienki, dodała głośno: - Pod warunkiem że ktoś wreszcie stamtąd wyjdzie i pozwoli mi wziąć prysznic.

- Czy ktoś mówi może coś o mnie? - zapytał ojciec, wchodząc do salonu, z ręcznikiem zawiniętym na głowie.

- Nie - odparła z uśmiechem. - Nikt już nic nie mówi. Dokładnie za dziesięć siódma wyszła ze swojego pokoju i stanęła przed rodzicami.

- T jak, może być?

Ojciec przez chwilę udawał, że mierzy ją krytycznym wzrokiem.

- No - odezwał się w końcu - chyba ujdzie w tłoku.

- Nie słuchaj go - rzuciła matka. - Wyglądasz po prostu prześlicznie.

- Ty też - powiedziała Sara. Mama, w długiej ciemno zielonej sukni z głębokim dekoltem na plecach, prezentowała się świetnie. - A ty - uśmiechając się, spojrzała na tatę - ujdiesz w tłoku.

Lustro w jej pokoju było niewielkie, podeszła więc do tego w salonie i obejrzała się. Nie musiała się martwić, że będzie zbyt wystrojona, dziś prawdopodobnie wszyscy wystąpią w eleganckich kreacjach, a jej czarna sukienka na cienkich ramiączkach, niesymetrycznie zakończona u dołu, tak że z prawej strony odkrywała kolano, a z lewej sięgała do połowy łydki, wydawała się idealna na taką okazję. Włosy Sara zostawiła rozpuszczone, ale żeby podkreślić niesymetryczność stroju, szesała je wszystkie na lewe ramię. W tej fryzurze wyglądała może trochę poważniej niż zwykle, ale to zupełnie jej nie przeszkadzało - ludzie i tak zwykle nie dawali jej więcej niż piętnaście lat.

- No nie oglądaj się już tak - powiedział ojciec. - Marna ma rację, wyglądasz ślicznie.

- Aha - zaczęła się z nim droczyć Sara. - Liczysz pewnie na to, że teraz ja ci powiem coś miłego.

- Nie, liczę na to, że szybko wyjdziemy i nie spóźnimy się na kolację.

Dickinsonowie już zajęli stół i kiedy ich dostrzegli, zaczęli do nich machać. Sara ze zdziwieniem stwierdziła, że nie ma z nimi Boba, ale doszła do wniosku, że pewnie za chwilę się pojawi, i ruszyła za mamą i tatą, którzy przeciskali się między stolikami. Tłok rzeczywiście był taki, jak przewidywał Robert, wciąż jednak uważała, że nie ma takiej możliwości, żeby mogła go przeoczyć.

- Sara! - zawołała pani Dickinson, kiedy dotarli do stołu. - Jak ty wyrosłaś! I jaka ładna z ciebie dziewczyna - dodała, całując ja w oba policzki. - Prawda, Greg? - zwróciła się do męża. - Poznałbyś ją?

- Gdzie tam.

- A jeszcze tak niedawno była taka malutka. - Za trzymała dłoń na wysokości stołu. - Boże, jak te nasze dzieci szybko dorastają.

- Właśnie - przyznał jej racje pan Dickinson, po czym zwrócił się do Sary: - Boba też pewnie nie poznasz.

Dziewczyna postanowiła nie wyprowadzać go z błędu.

- A właśnie, gdzie on jest? - spytała, siadając.

Twarz pani Dickinson posmutniała.

- Bob nie przyjdzie na kolację.

Sarze przemknęło przez głowę, że musiał już wiedzieć o tym, kiedy go widziała w drodze do butiku, i pewnie dlatego tak się napychał.

- Dlaczego? - zapytała jej matka zmartwionym głosem.

- Źle się poczuł, biedactwo.

Ja też nie czułabym się najlepiej, gdybym tyle zjadła, pomyślała Sara, ale zaraz przypomniała sobie, że postanowiła być dzisiaj wieczorem miła i dobra dla wszystkich ludzi, nie wyłączając Boba.

- Coś poważnego? - zainteresowała się.

- Pewnie coś mu... - zaczęła jego matka, lecz mąż nie dał jej skończyć.

- Przestań - rzekł, machając ręką. - Nic mu nie za szkodziło, tylko się najzwyczajniej czymś napchał. Jak to Bob.

Sara szczerze współczuła biednemu chłopcu. Gdyby to ona cierpiała z powodu uzależnienia od jedzenia - a Bob najwyraźniej miał taki problem - nie chciałaby, żeby jej tata wyrażał się o tym w tak lekceważący sposób.

- Nic mu nie będzie, jak raz nie zje kolacji - ciągnął pan Dickinson.

Coraz bardziej było jej żal jego syna.

- Ale został przecież zupełnie sam... w taki wieczór - powiedziała i zanim zdążyła się zastanowić, zaproponowała: - Może pójdę do niego i trochę z nim posiedzę, żeby nie czuł się za bardzo opuszczony.

- Nie przejmuj się Bobem - rzucił pan Dickinson. - Ma to, na co sam sobie zasłużył.

Chyba zaczynała go nie lubić.

- Nie, Saro - odezwała się jego żona. - To bardzo miłe z twojej strony, że wpadłaś na taki pomysł, ale Bob prosił, żeby zostawić go w spokoju.

Wigilijna kolacja miała się składać z siedmiu dań i właśnie przyniesiono pierwsze. Na szczęście na stole leżało menu z francuskimi nazwami i objaśnieniami po angielsku i tylko dzięki temu wiedzieli, co jedzą - tak wyszukane były wszystkie potrawy.

Sara co jakiś czas odrywała się od jedzenia i rozglądała. Część restauracji była jednak ukryta za zieloną ścianą, którą tworzyły splecione ze sobą tropikalne rośliny, i kiedy wszystkie stoliki, jakie miała w zasięgu wzroku, zostały zajęte, doszła do wniosku, że Robert i jego rodzice siedzą w tej drugiej części.

- Szukasz kogoś? - zapytała w pewnym momencie mama.

- Mówiłam ci o tym chłopaku, którego wczoraj po znałam. Myślałam, że może gdzieś tu jest.

- W tym tłoku trudno kogokolwiek wypatrzeć.

- Masz rację - przyznała Sara, mimo to co jakiś czas zerkała, to w prawo, to w lewo.

Minęła już ósma, a do ich stołu przyniesiono dopiero trzecie danie. Przeraziła się, że jeśli następne będą serwowane w takim tempie, kolacja nie skończy się przed dziesiątą, a umówiła się z Robertem o dziewiątej.

Jej rodzicom i Dickinsonom te długie przerwy zupełnie nie przeszkadzały. Gawędzili sobie wesoło, wspominając stare czasy; od czasu do czasu któreś z nich zagadywało ją o coś. Starła się nie wyglądać na znudzoną i odpowiadać uprzejmie, lecz myślami była już w altanie na molo.

Dziewiąta minęła, kiedy kelner przyniósł do stołu szóste danie. Sara siedziała jak na szpilkach.

- Strasznie to długo trawa - rzuciła w końcu.

- To jest wytworna kolacja, a nie jakiś tam posiłek w McDonalddie - przypomniała jej matka. - Poza tym jest bardzo sympatycznie, prawda? - zwróciła się do przyjaciół i męża.

- Cudownie - odparła pani Dickinson.

- A tobie się nie podoba? - spytał pan Dickinson.

- Nie... oczywiście, że mi się podoba.

- Wyglądasz, jakby ci się dokądś spieszyło - zauważył ojciec Boba.

- Umówiłam się o dziewiątej z kolegą, nie przypuszczałam, że ta kolacja może tak długo potrwać.

- Aha! - Pan Dickinson roześmiał się rubasznie. - To trzeba było od razu mówić, że masz randkę.

- To nie randka, po prostu umówiłam się z kolegą - broniła się, ale wiedziała, że zdradzają ją zarówno głos, jak i rumieńce.

Kiedy pół godziny później, po spróbowaniu zaledwie deseru, pędziła w kierunku plaży, wcale nie czuła się tak, jakby „po prostu umówiła się z kolegą”. Serce biło jej mocno, i to nie dlatego, że biegła, lecz z niepokoju, że Robert mógł mieć dosyć czekania na nią i wcale go tam nie będzie.

Na molo nie było nikogo. Sara rozejrzała się, lecz plaża była pusta. Łzy zakręciły jej się w oczach na myśl, że go już dzisiaj nie zobaczy. Potem przyszło jej do głowy, że on też nie mógł wcześniej wyjść. Kiedy wybiegała z restauracji, kelnerzy jeszcze nosili desery do innych stołów. Postanowiła poczekać i wtedy usłyszała jakiś ruch. Kilkanaście metrów od niej, z dala od latarni oświetlających plażę, rosła palma, tak pochylona, że jej pień niemal kładł się na piasku. Właśnie z tego pnia podniosła się jakaś postać i zaczęła się do niej zbliżać.

- Cześć - odezwał się cicho Robert.

- Cześć, nie widziałam cię.

- Ale ja widziałem cię. - Sara stała w blasku latarni. - I bardzo mi się podobało to, co widziałem. Ślicznie wyglądasz.

Mimo że tak chciała usłyszeć od niego coś podobnego, spieszyła się.

- Przepraszam za spóźnienie, strasznie to długo trwało, a bałam się, że rodzice obrażą się, że nie wytrzymałam z nimi do deseru.

- Wiem, sam miałem problemy, żeby się stamtąd wyrwać - powiedział, pokonał ostatni metr, który dzielił ich od siebie, i pocałował ją.

Poczuła niedosyt, kiedy oderwał usta od jej warg, ale przerwał pocałunek na krótko, tylko po to, by powiedzieć:

- Wesołych świąt...

- Wesołych świąt - wyszeptała po chwili.

ROZDZIAŁ 10

Te święta były wesołe. Nie miały wprawdzie nic z atmosfery, która kojarzy się z Bożym Narodzeniem - nie były białe, nie pachniały choinką. Pachniały morzem, wiatrem, egzotycznymi roślinami i limonką i były najcudowniejsze w jej życiu.

Sara spędzała z Robertem całe dni - pływali razem na rafę, jeździli na wodnym skuterze, na rowerach, chodzili na długie spacerunki wzdłuż zatoki, czasami tylko - zaledwie kilka razy - kładli się, każde ze swoją książką na leżakach pod palmami, ale żadne z nich ani razu nie przeczytało do końca ani jednej strony - tyle mieli sobie do powiedzenia.

Przestała już sobie zaprzętać głowę ponurymi myślami, które gnębiły ją przez pierwsze dwa, trzy dni. Nie była naiwna; zdawała sobie sprawę, jak się zwykle kończą wakacyjne miłości, kiedy więc stwierdziła, że jest zakochana, bała się bardzo cierpienia po powrocie do domu. Czuła, że nie będzie w stanie zapomnieć o Robertcie po paru tygodniach. Obawiała się, że jeśli w ogóle jej się to uda, zajmie to znacznie więcej czasu.

Dzień przed sylwestrem takie smętne rozważania już nie przesłaniały jej szczęścia. Po pierwsze, dowiedziała się, że Robert mieszka w Nowym Jorku, i to wcale nie tak daleko od niej, a po drugie - i to było znacznie ważniejsze - na każdym kroku dawał jej sygnały, że chciałby po powrocie kontynuować ich znajomość. Wspominając o którymś ze swoich zwariowanych przyjaciół, dodawał, że Sara pewnie wkrótce go pozna. Kiedy zgadywali się, że nie widzieli jeszcze jakiegoś filmu z Tobeyem Maguire'em, było oczywiste, że w Nowym Jorku zobaczą go razem. Po tym, jak doszło między nimi do burzliwej dyskusji, gdzie na Manhattanie jest najlepsza pizza, Robert zaproponował test, który miał polegać na tym, że każde z nich kupi margarittę w swojej ulubionej restauracji, zawiąza sobie oczy i poproszą kogoś, kto będzie im sekundował, żeby każdemu z nich wpakował do buzi po kawałku z każdej.

Jednym słowem, robili plany na przyszłość. Nie obiecywali sobie wprawdzie miłości aż po grób, lecz Sara nie drżała już ze strachu na myśl, że po powrocie do Nowego Jorku ich drogi się rozejdą.

Jeszcze w południe przedostatniego dnia starego roku, wiedziała, że ich znajomość nie skończy się tak jak większość wakacyjnych młodzieńczych miłości. I nie przyszło jej do głowy, że może się skończyć znacznie, znacznie gorzej.

Tego dnia, jak zwykle, jedli obiad w restauracji przy plaży. Siedzieli przy stole wraz z grupką młodych Francuzów, z którymi zdążyli się zaprzyjaźnić, i rozmawiali o zapowiadającej się bardzo ciekawie sylwestrowej nocy.

- O Boże - szepnęła nagle Sara.

- Coś się stało? - zaniepokoił się Robert.

- Zupełnie o czymś zapomniałam.

- Coś ważnego?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym uśmiechnęła się.

- Nie dla mnie, dla mojej przyjaciółki - odparła. Pierwszego dnia, kiedy się poznali, zwierzyła mu się, że w ogóle nie miała ochoty na spędzanie ferii na Martynice, przemilczała jednak fakt, że duży wpływ na jej niechęć miała sylwestrowa impreza urządzana przez Nicka, przyjaciela Rossa, chłopaka, którego wtedy - teraz trudno jej było w to uwierzyć - uważała za najatrakcyjniejszego w całym nowym Jorku. - Opowiadałam ci o Mandy?

- Pewnie. Opowiadasz mi głównie o Mandy.

Sara uśmiechnęła się. Nie mogła się już doczekać, kiedy jej przyjaciółka pozna Roberta, czuła bowiem, że go polubi i nigdy nie zada jej tego pytania, które tyle razy padało w odniesieniu do Rossa: „Co ty, na miłość boską, w nim widzisz?”

- No więc jaki problem ma ta cała Mandy, w której, mimo że jej nie widziałem na oczy, powinienem być od tygodnia ciężko zakochany.

Sara spojrzała na niego zaskoczona. Robert roześmiał się.

- Opowiadasz o niej takie rzeczy, że każdy normalny facet zakochałby się w niej na odległość.

- A ty nie jesteś normalny?

- Jestem. Tylko że ja zakochałem się już w kimś innym. Popatrzył na nią tak, że nie musiała mu już zadawać następnego pytania. Ale zadała je sobie. Czy za pół roku albo za rok, kiedy - jeśli - pójdą już razem na film z Tobeyem Maguire'em, kiedy ona zdąży poznać zwariowanego przyjaciela Roberta i kiedy okaże się, że to pizza z jej ulubionej restauracji jest lepsza - co do tego, że właśnie taki będzie rezultat testu, nie miała najmniejszych wątpliwości - to czy wtedy wciąż będzie jej się robiło tak ciepło koło serca, kiedy powie jej coś takiego jak teraz? Robert spowaźniał. Właśnie to podobało jej się w nim najbardziej: potrafił być niesamowicie dowcipny, ale nie był błaznem; nie należał do tego typu chłopaków, którym się wydaje, że jeśli przez pięć minut nie będą zabawni, to nie uda im się wzbudzić zainteresowania innych.

- Muszę zadzwonić do Mandy - powiedziała, spoglądając na zegarek. - Miałeś dzisiaj po obiedzie zagrać z ojcem w tenisa, prawda?

- Tak, ale jeśli masz jakieś plany, to mogę to odwołać. Tata zagra z mamą albo z kimś innym.

- Nie, nie odwołuj. To nawet dobrze się składa. Pójdę teraz do bungalowu, zadzwonię do Mandy, a potem trochę się prześpię. - Tego dnia wstała wcześniej, bo rano wybrali się łodzią motorową na rafę, a o czwartej zamierzali popłynąć jeszcze raz.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko temu, że zagram z ojcem? - upewnił się Robert.

- Żartujesz. I tak się boję, że twoi rodzice mnie nie polubią, bo będą mieli żal, że przeze mnie nie masz dla nich czasu.

- Na pewno cię polubią.

- A swoją drogą to dziwne, że minął już tydzień, a jeszcze ich nie spotkałam. - Z drugiej strony nie było w tym nic zaskakującego. Teren hotelu był tak ogromny, a możliwości spędzania czasu tak rozmaite, że nie natknęli się również na jej mamę i tatę. - Ale bardzo chciałabym ich poznać - dodała po chwili.

Długo się nie odzywał. Sara, mimo że znali się dopiero od tygodnia, nie miała dotychczas problemów z interpretowaniem jego reakcji. Jeśli mu się coś podobało, od razu widziała to po jego twarzy, gdy nie był zachwycony, to nawet jeżeli nie wyrażał tego słowami, natychmiast o tym wiedziała. Teraz po raz pierwszy przez chwilę nie wiedziała, co myśleć. Ale kiedy uśmiechnął się do niej, przestała sobie zawracać tym głowę.

- Ja też chętnie poznam twoich - powiedział. Umówili się, że spotkają się przed czwartą koło centrum nurkowania, i rozeszli się.

Sara właśnie dochodziła do bungalowu, kiedy wyszli z niego rodzice, oboje w strojach do tenisa. Ją tenis zawsze nudził i nawet fakt, że Robert był zapalonym tenisistą, nie przekonał jej do tej dyscypliny sportu.

- Następni szaleńcy - zażartowała, kiedy spotkali się w połowie drogi do bungalowu.

- Następni? - zdziwiła się matka.

- Robert... no wiesz... - myślała o nim jak o swoim chłopaku, jednak w rozmowie z rodzicami nigdy go tak nie nazwała - ten kolega, o którym wam wspominałam, też właśnie poszedł grać w tenisa.

- Ooo! - wtrącił się ojciec. - To może go wreszcie poznamy.

Sara w czasie rowerowych wypraw z Robertem wielokrotnie przejeżdżała koło hotelowych kortów tenisowych i wiedziała, że jest ich kilka.

- Mało prawdopodobne - rzuciła trochę speszona.

- Co jest mało prawdopodobne? - dociekał tata.

- Nie znacie Roberta, więc jak go rozpoznasz? - spytała.

- Ja miałbym nie rozpoznać chłopca, który tak prze wrócił w głowie mojej jedynej córce, że jej w ogóle nie poznaję?

- Przestań, tato. - Zwykle dobrze znosiła jego żarty, teraz, nie wiadomo dlaczego, irytowały ją.

- Chciałabym zadzwonić do Mandy - powiedziała, żeby zmienić temat. - Zapłacę za tę rozmowę ze swojego kieszonkowego - zastrzegła się.

- Oj Saro, Saro. - Mama roześmiała się. Jej i mężowi bardzo spodobały się prezenty, które dostali od córki na gwiazdkę, domyślili się jednak, że musiała znacznie prze kroczyć miesięczny limit swojej karty kredytowej. - Mówisz o marcowym kieszonkowym czy kwietniowym? - spytała.

Sara zrobiła strapioną minę, lecz mama poklepała ją po ramieniu.

- Oczywiście, że powinnaś zadzwonić do Mandy, prze cięż to twoja najlepsza przyjaciółka. I nie przejmuj się rachunkiem... no chyba że - dodała, kiedy córka ruszyła już w stronę bungalowu - będziecie jak zawsze rozmawiać godzinami.

Sara, wdzięczna za tę wspaniałomyślność, ucałowała mamę w oba policzki i pobiegła do bungalowu.

Przez dziesięć minut naciskała klawisze na telefonie, lecz zaraz po wybraniu numeru kierunkowego Stanów Zjednoczonych, w słuchawce rozległa się informacja, że telefonicznej, zadzwoniła tam i dowiedziała się, że w związku ze świąteczno - sylwestrowym przeciążeniem linii rozmowy zagraniczne trzeba zamawiać.

- Jeśli *mademoiselle* bardzo zależy na tym połączeniu - powiedział pracownik hotelowej centrali - radziłbym przyjść do recepcji i tu zamówić rozmowę.

Nie wahając się ani chwili, Sara pobiegła tam. Okazało się, że nie ona jedna chciała rozmawiać z kimś za granicą, w kolejce czekało kilkanaście osób. Minęło dobre pół godziny, zanim usłyszała swoje nazwisko.

- *Mademoiselle* Reilly, kabina numer trzy! Ucieszyła się, że telefon odebrała Mandy, a nie jej babcia, która była wprawdzie bardzo miła, lecz wyjątkowo gadatliwa.

- Jezu, co się stało?! - zawołała Mandy, słysząc jej głos. - Jest aż tak źle?

- Nie.

- Ktoś, pewnie w centrali telefonicznej, powiedział, że to połączenie z Martyniką, więc od razu przyszło mi do głowy, że to ty i że masz jakieś poważne problemy, i że...

- Nie - przerwała jej Sara. - Wszystko jest w porządku. W porządku to mało powiedziane. Jest fantastycznie, rewelacyjnie... super... bosko... cudownie... nieziemsko...

Myślała nad kolejnym słowem, lecz Mandy i tak już się domyśliła.

- Zakochałaś się!

Sara skinęła głową, nie pomyślała jednak, że jej przyjaciółka tego nie widzi. Kiedy to sobie uświadomiła.

- Ty sobie siedzisz na tropikalnej wyspie, świetnie się bawisz, wylegujesz się pod palmami, zakochujesz się jak gdyby nigdy nic, a ja mam spędzać sylwestra w towarzystwie palantów... półgłówków... kretynów...

Tym razem Sara wykorzystała okazję, że przyjaciółce zabrakło słowa.

- Nie! Właśnie dlatego dzwonię. Nie dlatego, że ja mam problemy, ale dlatego, że chcę ich zaoszczędzić tobie. Oczywiście, jeśli masz ochotę, możesz iść na imprezę do Nicka, nie musisz już jednak tego robić z mojego powodu. Nic mnie nie obchodzi Ross. Nie obchodzi mnie, co będzie robił, z kim się będzie bawił.

- Jaki on jest? - weszła jej w słowo Mandy.

- Jest... jest... jest...

- No dobrze, już wiem, jaki jest. I naprawdę mogę jutro nie iść do Nicka? Jesteś tego pewna?

- Absolutnie pewna.

Rozmawiały jeszcze kilka minut, ale Sara wiedziała, że cokolwiek powie, Mandy i tak dopiero wtedy przekona się o tym, jakim wspaniałym chłopakiem jest Robert, gdy go pozna.

Kiedy wychodziła z hotelowego lobby, uświadomiła sobie, że właściwie zupełnie odechciało jej się spać. Już skręciła w alejkę prowadzącą do ich bungalowu, ale nagle zmieniła zamiar, odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę kortów tenisowych.

ROZDZIAŁ 11

Poskładanie wszystkich kawałków w jedną całość zajęło jej kilka minut. Kiedy podeszła do kortów na tyle blisko, że widziała, co dzieje się, za gęstą siatką, odgradzającą je od drogi, najpierw zauważyła ojca. Podrzucając piłeczkę na rakięcie, rozmawiał ze swoim przeciwnikiem, który stał do Sary plecami. Nie widziała jeszcze Roberta w stroju tenisowym, nie od razu więc zorientowała się, że to on.

Najpierw przyszło jej do głowy, że ci dwaj poznali się dopiero dzisiaj, i ciarki przebiegły jej po plecach na myśl o tym, co też tata mógł naopowiadać jej chłopakowi. Po chwili dostrzegła pana Dickinsona, który wraz z żoną zajmował sąsiedni kort. Mama Sary najwyraźniej zrobiła sobie przerwę w grze, bo siedziała na ławce i kibicowała mężowi. Ale gdzie się podziewał ojciec Roberta?

na to o wiele za stary, a wysoki blondyn stanowczo za młody.

Pan Dickinson tymczasem najwyraźniej wygrał seta, bo uniósł ręce w triumfalnym geście.

- Ben! - zawołał. - Pamiętasz, że obiecałeś mi rewanż? Sara spojrzała na ojca. Ten odebrał backhandem serw i odkrzyknął:

- Jasne, że pamiętam! I nie mogę się doczekać, ale najpierw muszę rozprawić się z Bobem.

Sara, zaskoczona, że ktoś o wadze syna Dickinsonów w ogóle gra w tenisa, zaczęła się za nim rozglądać, ale nigdzie go nie było. Jeszcze bardziej zdziwiła się, gdy usłyszała następne słowa pana Dickinsona:

- Bob, załatw Bena najszybciej, jak potrafisz!

A to, co przeżyła kilka sekund później, nie było już ani zdziwieniem, ani zdumieniem, tylko prawdziwym szokiem.

Robert posłał z forhendu zakręcaną piłkę w prawy róg części przeciwnika, tak że ojciec żadnym sposobem nie mógł jej odebrać, i zawołał:

- Już się robi, tato.

Robert. Bob. Każde dziecko wie, że Bob jest zdrobnieniem od Roberta. Jak mogła o tym nie pomyśleć?!

Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło od momentu, gdy uświadomiła sobie, o co w tym wszystkim chodzi, do czasu, aż była w stanie się poruszyć.

W pierwszej chwili chciała się odwrócić i uciec, potem zmieniła zamiar i ruszyła do wejścia na korty. Nie będzie tego odkładać; od razu im powie, co o nich myśli. O nich wszystkich.

Potem dostrzegł ją ojciec. Przez ułamek sekundy miał minę, którą dobrze znała. Zawsze miał taki wyraz twarzy, kiedy zrobił jakiś głupi dowcip. Gdy Sara była mała, nie rozumiała matki, która najczęściej nie była zachwycona żartami męża, ale kiedy podrosła, zwykle się z nią zgadzała - dowcipy taty nie zawsze były najmądrzejsze.

Ojciec zagapił się i nie odebrał piłki przeciwnika i właśnie wtedy Robert się odwrócił.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Sarze wyleciały nagle z głowy te wszystkie słowa, które chciała rzucić im w twarz. Stała jeszcze kilka sekund, a kiedy poczuła pierwsze spływające po policzkach łzy, odwróciła się i uciekła z kortów.

- Sara! - Najpierw usłyszała wołanie Roberta, a potem jego kroki na asfaltowej drodze.

- Zaczekaj!

Choć zdawała sobie sprawę, że i tak ją dogoni, biegła ile sił w płucach.

Dopadł ją przy recepcji.

- Puść mnie! - krzyknęła, kiedy złapał ją za oba ramiona. - Puść mnie, słyszysz! - zażądała, próbując mu się wyrwać, trzymał jednak zbyt mocno.

- Pozwól tylko coś sobie wytłumaczyć - poprosił.

- Nie musisz nic tłumaczyć. Już wszystko wiem. Oszukałeś mnie. Przez cały tydzień mnie okłamywałeś i jeszcze wciągnąłeś w to moich rodziców.

Nie wiedziała, do kogo ma większy żal, do nich, czy do niego.

- Pewnie mieliście przy tym świetną zabawę. - Przez chwilę miała jeszcze nadzieję, że może to jej tata wymyślił.

- Nie miej pretensji do swoich rodziców. To ja ich do tego namówiłem.

- Jakoś nie widać, żeby ci się bardzo opierali.

- Mylisz się. Zwłaszcza twojej mamie ten pomysł wcale się nie podobał.

- Wyobrażam sobie, że tata był nim zachwycony. - Tak, to był dowcip bardzo w jego stylu.

Robert nie zaprzeczył; uśmiechnął się tylko nieznacznie.

- Przepraszam cię - powiedział. - Nie sądziłem, że będziesz na mnie aż taka zła.

- Nie! Przypuszczałeś pewnie, że będę zachwycona, kiedy się dowiem, że chłopak, którego... że chłopak, który... - W porę przerwała. W tej chwili nie wiedziała, czy czuje do niego cokolwiek poza wściekłością, ale nie chciała, by się dowiedział, że kiedykolwiek coś

czuła. - Przypuszczałeś, że ucieszę się na wieść, że ktoś okłamywał mnie przez tydzień i świetnie się bawił moim kosztem.

Robert wciąż trzymał dłonie na jej ramionach, lecz wiedziała, że teraz, gdyby spróbowała, mogłaby mu się wyrwać. Nie poruszyła się jednak.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie bawiła cię ta historia? - Mówiła już spokojniej, ale jej głos zrobił się zimny.

Robert milczał.

- Oszukiwałeś mnie tyle czasu, że przynajmniej teraz mógłbyś być szczery.

- Owszem, chwilami bawiła.

Sara znów miała ochotę zacząć krzyczeć. Powstrzymała się z trudem; nie mogła przecież wściekać się, że zdobył się na szczerość, o którą prosiła.

- I jak długo jeszcze planowaliście ciągnąć tę maskaradę?

- To nie jest tak, jak myślisz. Nie sądziłem, że to potrwa aż tak długo. Zamierzałem ci wszystko powiedzieć po dwóch, trzech dniach.

- Więc dlaczego tego nie zrobiłeś? - spytała i zaraz sama sobie odpowiedziała. - Bo zabawa była zbyt pyszna, żeby ją sobie psuć, prawda! - Nie wytrzymała i ostatnie słowa wykrzyczała, wrywając mu się jednocześnie. - Nie chcę cię więcej widzieć, słyszysz! Skoro przez tydzień udało nam się poruszać po terenie hotelu i ani razu nie spotkać ani twoich, ani moich rodziców, to tym bardziej jest możliwe, żebyśmy przez następny tydzień nie wchodzili sobie w drogę.

Odwróciła się i odeszła drogą prowadzącą do jej bungalowu.

- Nie powiedziałem ci wcześniej, bo...

Nie wiedziała, czy przerwał, czy była już za daleko, żeby słyszeć resztę.

Tego dnia matka kilka razy pukała do jej pokoju, ale Sara albo udawała, że śpi, albo wołała:

- Zostawcie mnie w spokoju! Nie chcę z wami rozmawiać!

Za którymś jednak razem mama nie odeszła spod jej drzwi, zapukała powtórnie, a potem weszła do pokoju.

- Dochodzi dziewiąta - powiedziała. - Jeśli w ciągu najbliższego kwadransa stąd nie wyjdiesz, nie będziesz miała szansy, żeby cokolwiek zjeść w tym hotelu.

Jakie te matki są prozaiczne, pomyślała Sara. Jej się zawałił cały świat, a mama mówi z nią o jedzeniu!

- I co z tego? - bąknęła.

- To z tego, że pójdziesz głodna spać.

- Proszę, co za troskliwa mamusia! - rzuciła z sarkazmem. - Szkoda, że się mną tak nie przejmowałaś w ciągu ostatniego tygodnia i nie przeszkadzało ci, że ktoś robi idiotkę z twojej córki.

- Posłuchaj, nie byłam zachwycona tym pomysłem - zaczęła matka cichym spokojnym głosem. - Matce Roberta też nie bardzo się podobał.

- Więc dlaczego brałaś udział w tym przedstawieniu? Matka wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Może po prostu uznałam, że trochę sobie na to zasłużyłaś.

- Zasłużyłam?! - Sara zerwała się z łóżka. - Zasłużyłam?! - powtórzyła jeszcze głośniej.

- Słuchaj, naprawdę uważam, że najpierw powinnaś pójść coś zjeść. Może trochę ochłoniesz i porozmawiamy o tym spokojniej.

Nie czuła głodu; jedzenie było ostatnią rzeczą, o jakiej mogłaby teraz myśleć, uznała jednak, że to rzeczywiście nie jest najlepszy moment na rozmowy z matką.

- Dobrze, pójdę na kolację - bąknęła pod nosem, bar dziej do siebie niż do niej, i wyszła z pokoju.

Kiedy przechodziła przez salon, zerknęła na siedzącego na kanapie tatę i znów zobaczyła na jego twarzy ten sam wyraz, który miał po południu na korcie. Postanowiła go zignorować, ale nie wytrzymała. Przy drzwiach zatrzymała się i spiorunowała go wzrokiem.

- Bardzo śmieszne. - W jej głosie nie było wprawdzie tyle złości, ile by sobie życzyła, ale uśmiech zniknął z jego twarzy i zastąpiła go mina małego chłopca, który narozrabiał i spodziewa się kary.

Sara zmusiła się, żeby coś zjeść w restauracji przy basenie, a potem chodziła hotelowymi alejkami, starając się unikać miejsc, w których bywała z Robertem - po pierwsze, obawiała się, że może go tam spotkać, po drugie, chciała sobie zaoszczędzić cierpienia.

Mama miała rację, mówiąc, że może trochę ochłonie. Po godzinnym spacerze z Sary wyparowała cała złość, ale wciąż czuła ból i wiedziała, że nawet gdyby tak chodziła do rana, ból pozostanie. Wróciła więc do bungalowu.

Matka czekała na nią na kanapie w salonie. Sara ucieszyła się, kiedy dowiedziała się, że tata poszedł już spać; nie zniosłaby po raz trzeci tego jego uśmiechu.

Głównie mówiła matka. Sara nie zgadzała się ze wszystkim, co od niej usłyszała, ale często przyznawała jej rację. Zwłaszcza gdy mama zapytała:

- A jak ty byś się czuła na jego miejscu? Wyobraź sobie, że poznajesz chłopaka, który ci się podoba, i po godzinie czy dwóch słyszysz, jak ten chłopak mówi, że byłaś kiedyś wstrętnym tłusciochem, który zepsuł ci twoje szóste urodziny, i że go nie cierpisz.

Sara nigdy nie była gruba, ale potrafiła sobie wyobrazić, że Robert, choć miał poczucie humoru na swój temat - była to jedna z jego licznych zalet - musiał się wtedy poczuć nieszczęśliwie.

- No, kiepsko - powiedziała z opuszczoną głową.

- Widzisz, spróbuj więc przynajmniej trochę go zrozumieć.

Nie była jednak do końca przekonana.

- No dobrze, zakładam, że miał powód, żeby dać mi po nosie. Ale mógł mi o tym wszystkim powiedzieć wcześniej. Dlaczego ciągnął to tak długo?

- Już ci mówiłam - odparła matka. - Bał się twojej reakcji.

- A ja myślę, że nie chciał sobie psuć zabawy.

- Wiesz co? Mam wrażenie, że z jakiegoś powodu wygodnie ci wierzyć w tę wersję, i obawiam się, że cokolwiek bym ci powiedziała, i tak będziesz wiedziała swoje.

Mama nie miała racji. Sarze o wiele wygodniej byłoby wierzyć w tę drugą wersję. Byłaby najszcześniejszą dziewczyną pod słońcem, gdyby potrafiła w nią uwierzyć, ale po tym, jak przez tydzień wykazywała się konkursową wręcz naiwnością, teraz stała się sceptyczna.

Kiedy położyła się do łóżka, miała w głowie kompletny mętlik. Chciała jak najszybciej zasnąć, wierząc, że przez noc coś jej się wyklaruje.

I nie myliła się. Rano przebudziła się i coś się wyklarowało - wiedziała, że wciąż jest zakochana.

Przetarła oczy i spojrzała na zegarek; była siódma. Na dzisiaj ona i Robert zapisali się na kajakową wyprawę w namorzyny. Uczestnicy mieli się stawić o ósmej pod recepcją.

Zerwała się z łóżka i poszła pod prysznic, ale kiedy poczuła na głowie pierwszy strumień chłodnej wody, przypomniała sobie, jak wczoraj mówiła Robertowi, że nie chce go już więcej widzieć. A teraz o niczym tak nie marzyła, jak o tym, żeby zobaczyć go jak najszybciej.

Niecały kwadrans później, z wilgotnymi włosami i z plecakiem, do którego pośpiesznie zapakowała kilka rzeczy, wybiegła z bungalowu.

Restauracja przy recepcji, w której jadła śniadanie po raz pierwszy, była prawie pusta. Nie zastanawiając się długo nad tym, na co ma ochotę, nałożyła sobie na talerz francuskie tosty z syropem klonowym i dwa plastry ananasa i czym prędzej usiadła przy stoliku usytuowanym tak, że miała widok na alejkę, którą mógłby nadejść Robert.

Ledwie zaczęła jeść, kiedy usłyszała za plecami:

- Cześć.

Rzuciła okiem przez ramię. Od bufetu szedł w jej stronę Jean - Pierre, chłopak, którego poznała w restauracji przy plaży.

- Sama dzisiaj? - zapytał łamaną angielszczyzną, po czym położył swój pełny talerz na stole.

- Tak - rzuciła trochę poirytowana, może nie samą obecnością Francuza, który był dosyć sympatycznym chłopakiem, ale tym, że siadając naprzeciwko niej, zasłonił jej widok na alejkę.

- A Robert?

Wciąż trwała przy swoim postanowieniu, że zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku zacznie się uczyć francuskiego, ale kiedy usłyszała, jak Jean - Pierre wymawia „r”, uznała, że nigdy nie nauczy się tego języka.

W odpowiedzi na pytanie chłopaka wzruszyła tylko ramionami, po czym przechyliła się nieco w prawo, bo wydawało jej się, że zobaczyła jakiś ruch na alejce. Ale to było tylko złudzenie.

Zawsze miała kłopoty ze zrozumieniem Jean - Pierre'a, lecz dziś, kiedy co chwila przesuwała się to w prawo, to w lewo, żeby zobaczyć, czy nie nadchodzi Robert, kompletnie nie miała pojęcia, o czym mówi jej towarzysz. Chłopak chyba się tego nie domyślił, bo wciąż coś jej opowiadał.

Z kilku pojedynczych słów, które wyłowiła, wywnioskowała, że mówi o wyprawie w namorzyny, nie była jednak pewna, czy on również wybiera się na wycieczkę kajakową, ale kiedy wstali od stołu i ruszył razem z nią w stronę wyjścia z hotelu, domyśliła się, że jednak jedzie.

Pokiwała głową, gdy idąc przez lobby, po raz kolejny powiedział coś zupełnie niezrozumiałego.

Jean - Pierre uśmiechnął się, objął ją ramieniem i tym razem wyjątkowo poprawnie rzucił:

- Ty mnie w ogóle nie słuchasz.

Sarze zrobiło się głupio, chciała się przed nim jakoś wytłumaczyć, skłamać, że rano zawsze jest trochę nieprzytomna, lecz w tym momencie w wejściu na drugim końcu lobby pojawił się Robert.

Stała oniemiała i patrzyła, jak zbliża się do niej i mówi:

- Cześć.

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, minął ją i jej towarzysza i wyszedł na podjazd przed lobby.

- Niedobrze - odezwał się Jean - Pierre.

Sara dopiero teraz zauważyła, że wciąż trzyma rękę na jej ramieniu. Zdjęła ją trochę zbyt gwałtownie i ruszyła do wyjścia.

Na podjeździe stały dwa busy i kilkanaście osób, wśród których rozpoznała paru rówieśników, poznanych w restauracji przy plaży. Jedną z nich była Ivonne, drobna śliczna brunetka z burzą kręconych włosów.

Ivonne, nie przestając uśmiechać się do chłopca, z którym rozmawiała, pomachała tylko ręką jej i Jean - Pierre'owi i znów całą uwagę skupiła na swoim towarzyszu.

Sara poczuła ukłucie nieprzyjemnego uczucia. Nie знаła go dotąd, nie miała jednak najmniejszych problemów z nazwaniem: to była zazdrość.

Zatrzymała się kilka metrów od Roberta i Ivonne. Po chwili do niej i Jean - Pierre'a dołączyło kilka osób, ale nie słuchała, o czym mówią, znacznie bardziej interesowało ją to, co dzieje się kawałek dalej, lecz nawet gdyby udało jej się coś dosłyszeć, i tak by nie rozumiała.

Dwie minuty później, gdy uczestnicy wyprawy, zaczęli zajmować miejsca w busach, zwalczyła w sobie chęć, by wsiąść do tego samego co Robert i Ivonne.

Zachowaj przynajmniej trochę godności, upomniała się w duchu i przeszła do drugiego samochodu.

W drodze Jean - Pierre i kilka innych osób próbowało nawiązać z nią rozmowę, ale wkrótce domyślili się widać, że jest myślami gdzie indziej, i przeszli na francuski.

Jechali dobry kwadrans asfaltową drogą, a potem skręcili w wyboistą wąską dróżkę wijącą się wśród gęstych zarośli sponad których co kawałek wystrzeliwały w górę wysokie kaktusy.

Przez cały czas z trudem powstrzymywała łzy, obawiała się jednak, że kiedy dojadą na miejsce i znów go zobaczy, nie będzie już w stanie dłużej nad sobą panować.

Nie będę płakać, obiecała sobie, gdy zatrzymali się przy niewielkim kawałku plaży i ujrzała Roberta wychodzącego z busa. Ivonne nie odstępowała go ani na krok. Nie dam mu tej satysfakcji, postanowiła Sara.

Kiedy wszyscy zebrali się przy kajakach, jeden z dwóch przewodników przedstawił plan wyprawy.

Poza ich grupą nie było tu żywego ducha. Po prawej i lewej, wzdłuż zatoki, ciągnęły się namorzyny, przez co miejsce - z wyjątkiem drogi, którą przyjechali - było niedostępne od strony lądu. Jakies dwa kilometry od brzegu, po lewej od miejsca, w którym się zatrzymali, były dwie wyspy, jedna większa, a druga tak mała, że mieściło się na niej zaledwie kilka palm.

Objaśniwszy pokrótce trasę, młody przewodnik z dreadami schowanymi w rastafariańskiej kolorowej czapce zapytał, czy wśród uczestników jest ktoś, kto nie płynął jeszcze kajakiem. Kilka osób się zgłosiło. Sara powinna pójść w ich ślady - nigdy w życiu nie miała w ręce wiosła - wolała jednak nie przyznawać się do tego, patrzyła więc tylko uważnie, jak przewodnik udzielał początkującym instrukcji.

Miała nadzieję, że nie skompromituje się, gdy wsiądzie na kajak, z drugiej jednak strony i tak nie miało to znaczenia. Jedyna osoba, na której jej zależało, była teraz zajęta kimś innym.

Pierwsze kilkaset metrów płynęli wzdłuż brzegu. Sara szybko nauczyła się poruszać wiosłami i robiła to na tyle dobrze, że nikt nie rozpoznał w niej nowicjuszki. Gorzej było, kiedy zapuścili się w namorzyny i trzeba było sprawnie manewrować, żeby przedostawać się przez miejscami bardzo wąskie przesmyki między niewysokimi rozłożystymi drzewami o skórzastych liściach i korzeniach wychodzących ukośnie z pnia wysoko nad wodą. Kilka razy przód jej kajaka zaklinował się między korzenie i musiała porządnie się napocić, żeby wydostać się z pułapki. Na szczęście nie ona jedna miała takie problemy.

Kiedy jechała busem, usłyszała, jak kierowca mówił, że zapuszczanie się w namorzyny bez przewodnika może być bardzo niebezpieczne. Teraz dopiero rozumiała dlaczego. Byli w wodnym labiryncie, z dziesiątkami węższych i szerszych odgałęzień. Gdyby pozostawiono ją tu samą, z pewnością nie wiedziałyby, jak wrócić.

Z wyjątkiem kilku miejsc, gdzie było na tyle dużo przestrzeni, że cała grupa mogła się zebrać wokół kajaków przewodników i posłuchać ich wyjaśnień dotyczących rośliny tych pięknych roślin, którymi byli otoczeni, wszyscy płynęli w milczeniu.

Poza lekkimi uderzeniami wiosła o wodę nie słychać było absolutnie nic. Sara nie widziała jeszcze miejsca tak nieskażonego cywilizacją jak to. Czuła się tak, jakby byli pierwszymi ludźmi, którzy tu dotarli, i to napawało ją czymś w rodzaju nabożnej czci.

Zaczęła jeszcze uważniej manewrować kajakiem, żeby nie otarł się o żaden korzeń, tak by to miejsce, po tym jak odpłyną, pozostało dokładnie takie samo, jakie było, zanim się tu pojawili.

Po dwóch kwadransach kluczenia w namorzynach zupełnie straciła orientację, po godzinie wydawało jej się, że pływają w kółko i wciąż trafiają w te same miejsca, a po dwóch była pewna, że nigdy nie wydostaną się z tego gąszczy. Patrzyła z powątpiewaniem na pewne miny przewodników i w którymś momencie przyszło jej do głowy, że tylko udają, że znają drogę. Ale dwie i pół godziny później wąski przesmyk, jakim płynęli, nagle się rozszerzył i chwilę po tym znaleźli się w zatoce.

Sara ze zdziwieniem stwierdziła, że dwie wyspy, które wcześniej mieli po lewej, teraz są po prawej. Klucząc w namorzynowym labiryncie, znaleźli się po drugiej stronie zatoki.

Teraz musieli pokonać jakieś trzy kilometry, dzielące ich od większej z wysp, na której mieli zjeść lanch.

Turkusowa, niezbyt głęboka woda w lagunie była tak spokojna i czysta, że widać było dno, dosłownie usiane jasnoczerwonymi rozgwiazdami. W ciągu minionego tygodnia Sara widywała już rozgwiazdy - na rafie, na którą wypływali codziennie po południu, w pobliżu hotelowej plaży - w żadnym innym miejscu jednak nie było ich tak dużo.

Zawsze kiedy jakieś morskie stworzenie wzbudziło w niej szczególny zachwyt, dzieliła się tym z Robertem i teraz w pierwszym odruchu chciała zrobić to samo, ale on płynął na końcu koło Ivonne, która przyznała się, że wsiada na kajak po raz pierwszy w życiu, i rzeczywiście nie najlepiej radziła sobie z wiosłami.

Sara zwróciła się więc do chłopaka, który był najbliżej niej:

- Zobacz, jakie piękne - powiedziała, wskazując wyjątkowo dorodną rozgwiazdę.

- Jaka wielka! - zdziwił się Jean - Pierre i uśmiechnął się do Sary.

- One chyba zaanektowały tę zatokę dla siebie - zażartowała. Wciąż się uśmiechał, ale teraz już tak jak człowiek, który nie ma pojęcia, co się do niego mówi. Postanowiła zadać sobie trochę więcej trudu i spróbować jakoś się z nim porozumieć. Nie oszukiwała się, że robi to dlatego, że jest miły. Był wprawdzie bardzo sympatyczny, ale przede wszystkim chciała pokazać Robertowi, że świetnie się bawi bez niego. - Mówię, że musiały polubić tę zatokę, skoro jest ich tu aż tak dużo - zwróciła się jeszcze raz do Jean - Pierre'a, starając się mówić jak najwyraźniej.

Chłopak pokiwał głową na znak, że zrozumiał. Kiedy pół godziny później dopłynęli na wyspę, stwierdziła, że konwersacja z nim, przy odrobinie dobrej woli z jej strony, wcale nie jest taka trudna. Gdy wszyscy usiedli pod palmami - każdy ze swoim lanchem, dostarczonym tu wcześniej z hotelu - wciąż rozmawiała z Jean - Pierre'em. Od czasu do czasu tylko zerknęła w stronę Roberta i nieodstępującej go na krok ciemnowłosej Francuzki. Szczerze mówiąc, wcale nie była pewna, czy nie jest odwrotnie - może to on nie odstępował jej. Kiedy Ivonne zdjęła T - shirt i została w samym bikini, ta druga możliwość wydała się Sarze jeszcze bardziej prawdopodobna.

Ivonne była drobną dziewczyną, ale z pewnością, kupując bieliznę, nie musiała, tak jak ona, szukać staników jedynek o najmniejszych miseczkach.

No i, oczywiście, jej duże palce u nóg były dłuższe od sąsiednich. Sara, zanim się o tym przekonała, nie miała nadziei, że jest inaczej, mimo to kiedy zobaczyła niewielkie stopy o starannie pomalowanych paznokciach, natychmiast usiadła tak, że swoje schowała pod pupą.

Właśnie kiedy zmieniała pozycję, poczuła na sobie wzrok Roberta. Popatrzyła na niego, lecz umknął spojrzeniem gdzieś w bok. Byli na wyspie jeszcze dwie godziny i dokładnie taka sama sytuacja powtórzyła się jeszcze kilka razy: czuła, że się jej przygląda, zerkała w jego stronę, a on odwracał wzrok.

Ale kilka razy było odwrotnie: to ona patrzyła na niego, a kiedy to dostrzegał, udawała, że jest zajęta rozmową z Jean - Pierre'em.

A potem, kiedy wszyscy siadali do kajaków, zdarzyło się coś dziwnego - spojrzeli na siebie jednocześnie i żadne z nich nie uciekło wzrokiem przed tym drugim. Patrzyli sobie w oczy, nie zdając sobie sprawy, że wszyscy ich obserwują. Dopiero wołanie jednego z przewodników przywróciło ich do rzeczywistości.

- Hej, ruszacie z nami czy przyplłynąć po was jutro?!

- A może dostarczyć wam coś do jedzenia i zostanieie na tej wyspie już na zawsze? - zapytał drugi przewodnik.

To było dokładnie to, co Sarze spodobałoby się najbardziej. Chociaż... Nie! Chciała przecież poznać Zacha, zwariowanego przyjaciela Roberta. Marzyła o tym, żeby wybrać się z nim - z Robertem, nie z jego stukniętym kolegą - na ostatni film z Tobeyem Maguire'em, a przede wszystkim chciała mu udowodnić - Robertowi, nie Tobeyowi Maguire'owi - że pizza z tej jego - pozał się Boże - restauracji wysiada przy pizzy od Małego Maria.

Uśmiechnęła się i zawołała:

- A moglibyście dostarczyć nam po kawałku margaritty od Małego Maria?! To taka włoska restauracja na Manhattanie - wyjaśniła. - I od... - Nazwa pizzeriii, którą tak zachwalał Robert, zupełnie wyleciała jej z głowy.

- Od Mamy Franceski - przypomniał jej Robert.

- No właśnie, od Mamy Franceski!

- Chyba im kompletnie odbiło - rzucił jeden z przewodników, ten w kolorowej rastafariańskiej czapce.

- Chyba nam rzeczywiście kompletnie odbiło - powiedział Robert.

Dzieliła ich odległość kilku metrów. Potem Sara próbowała sobie przypomnieć, jak to było, ale nigdy nie wiedziała tego na pewno. Może to on podeszedł do niej, może ona podeszła do niego, może spotkali się pośrodku drogi?

Nie po raz pierwszy się całowali, zawsze jednak - poza przelotnymi ukradkowymi buziakami - zwracali uwagę na to, żeby nikt tego nie widział. Teraz pocałowali się na oczach kilkunastu osób i był to ich najcudowniejszy pocałunek.

Sara nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Robert też; widziała to po jego oczach.

A pozostali? Pozostali zaczęli bić brawo.

Nawet Jean - Pierre.

I Ivonne. Ivonne, która nosiła stanik trójkę i miała duże palce u nóg dłuższe od sąsiednich.

- Kocham cię - szepnął Robert.

- Za co? - spytała Sara, choć tak naprawdę zupełnie nie interesowała jej odpowiedź. Roześmiała się, wskazała na swoje stopy i poruszyła dużymi palcami. - Nie powiesz mi, że za to?

- Za to też.